

Powiat



Nr 1-2 (179-180), Styczeń-Luty 2016
Rok XVI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Miliony na bezrobocie
Gospodarka ma swego reprezentanta
Prowadziła mnie na zielone łąki

Na Mont Blanc i Elbrus bez drabiny

O tym, jak historia zostawia czytelne ślady
Stare dłuto ojca zmieniło życie
Zwykł spełniać się przed sztalugą
Zawsze przed orkiestrą
Jak kupować

Wieś Tworząca



PRZEBUDOWA DROGI POWIATOWEJ W CIĄGU ULICY WZASOWEJ

USTKA





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Na początku lutego, z mojej inicjatywy doszło do ważnego spotkania samorządowców powiatu z marszałkiem województwa pomorskiego - Mieczysławem Strukiem. Marszałek przyjechał do naszego starostwa, przyjechali też wójtowie i burmistrzowie powiatu. Dyskutowaliśmy o tarczy antyrakietowej w kontekście prowadzonych rozmów z administracją rządową o oczekiwanej przez nasze samorządy rekompensacie za jej lokalizację w powiecie słupskim. Dyskutowaliśmy też o relokacji oddziału położ-

niczo-ginekologicznego z Ustki do Słupska oraz o sprawach dotyczących oświaty.

To ważne dla naszych samorządów tematy. Marszałek zadeklarował dalsze swoje wsparcie w prowadzonych rozmowach z administracją rządową o rekompensatach za tarczę i podjęcie wspólnych działań w tej sprawie. W kwestii przeniesienia z Ustki do Słupska oddziału położniczo-ginekologicznego zgodziliśmy się z marszałkiem, że bezsprzecznie jest taka potrzeba. Długo spieraliśmy się jednak o to, czy konieczna jest

budowa nowego pawilonu szpitalnego w Słupsku dla tego oddziału. Upieraliśmy się, że taki pawilon powinien powstać. Marszałek starał się udowodnić, że nie ma takiej potrzeby. Jego zdaniem i w ocenie dyrekcji szpitala oddział ginekologiczno-położniczy zmieści się i będzie mógł prawidłowo funkcjonować w istniejących już budynkach szpitala. Obiecał, że ostateczną decyzję podejmie za kilka tygodni.

Dyskutowaliśmy również o sprawach oświatowych. Dyrektor Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli ze Słupska Bożena Żuk omó-

wiła zmiany w prawie oświatowym obowiązujące od 2016 roku oraz przedstawiła bardzo ciekawy projekt (o którym dyskutowaliśmy już na Zarządzie Powiatu) utworzenia Centrum Edukacji Morsko-Żeglarskiej przy Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. Miałoby ono zajmować się prowadzeniem edukacji morsko-żeglarskiej wśród dzieci i młodzieży, od której dawno zapomnieliśmy, a powiat słupski jest przecież powiatem morskim, ma tradycje w prowadzeniu takiej edukacji i rozwoju gospodarki morskiej.

W numerze:

- 2 Ważne decyzje
- 2 W czołówce rankingu
- 3 Forum gospodarcze
- 3 Edukacja morska
- 3 Statuetka za matematykę
- 4 Komu należy się pomoc prawną
- 4 Laureaci konkursu
- 5 Nuty poezji
- 5 Gdynia Game Festival
- 5 Wystawa gotębi
- 6 Miliony na bezrobocie



Do najważniejszych w bieżącym roku należą prace przygotowawcze do Forum Gospodarczego Izby z obszaru Morza Bałtyckiego i miast zaprzyjaźnionych.

- 10 Słowa, gesty, czyny
- 12 Nasz problem
- 13 Uzdolniony dom
- 14 Prowadziła mnie na zielone łąki



Powinno nam się żyć wygodnie w pięknym świecie. Tymczasem coraz częściej powracamy do krainy dzieciństwa.

Wspomnienie o matce, koi całe zło, które zacieśnia się jak pętla na szyi ludzkości.

- 16 Na Mont Blanc i Elbrus bez drabiny



Krótko po wschodzie słońca, przy silnym wietrze i mrozie, stajemy na szczycie Mont Blanc. Wspaniały widok od razu rekompensuje trud i poświęcenie związane z wyprawą.

- 19 Spotecznik uduchowiony
- 21 Sędziwa księżnica
- 23 O tym, jak historia zostawia czytelne ślady



Stare książki? Nawet z białymi plamami mają wartość dokumentu, bo nauczyliśmy się odczytywać to, o czym pisać nie było wolno.

- 26 Stare dłuto ojca zmieniło życie



Dziesiątki odbytych wizyt u lekarzy konwencjonalnych i niekonwencjonalnych, przemieszczeń się między wieloma miastami w poszukiwaniu ratunku i... żadnego efektu.

- 29 Słupskie obwarowania
- 30 Zwyczaj spełniać się przed sztalugą
– Bez przerwy poszukuję swoich osobistych, niesztampowych, „dobiegających głębi” środków wyrazu. Bywa, że cel jawi się na odległość



wyciągniętej ręki, tuż – tuż. Chwilę później pryska niczym bańka mydlana.

- 32 Kto rzeźbi, trzy razy się modli...
- 35 Dłutem i... sercem
- 36 Wszsze przed orkiestrą



Z Bohdanem Jarmotowicz – dyrektorem naczelnym i artystycznym, dyrygentem Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

- 38 Jak kupować
- 40 Stalowi „Prezydenci” USA



Rozmowa z Pawłem Kądział – dyrektorem Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku.

- 8 Gospodarka ma swego reprezentanta
Plany są ambitne i wychodzą naprzeciw lokalnym problemom.



Ważne decyzje

Na XV sesji Rady Powiatu Słupskiego, 27 stycznia br. radni zdecydowali o ważnych inwestycjach.

Radni podjęli uchwałę o zawarciu aneksu do umowy umowy na przebudowę drogi powiatowej nr 1202G w ciągu ulicy Wczasowej w Ustce. Była ona niezbędna do przeprowadzenia dodatkowych prac z uwagi na większe niż zakładano zużycie istniejącej kanalizacji deszczowej. Dodatkowe roboty obejmować będą renowację istniejącego kanału deszczowego metodą otwartego wykopu. Ich

koszty - ponad 892 tys. zł poniosą strony umowy, W przypadku powiatu jest to ponad 399 tys. zł.

Radni przegłosowali także uchwałę o przystąpieniu powiatu do projektu pn. „Poprawa efektywności energetycznej Obszaru Funkcjonalnego Miasta Słupska poprzez termomodernizację budynków”. Planowany jest on do realizacji w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014 - 2020. Obejmuje prace termomodernizacyjne na 49 obiektach użyteczności publicznej w Ustce, gminie Ustka oraz gminach: Słupsk, Kobylnica i Dęb-

nica Kaszubska. Termomodernizacją objęte zostaną też budynki: Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku - przy ulicy Leszczyńskiego 8 i Fabrycznej 1 (razem z Poradnią Psychologiczno-Pedagogiczną) oraz Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce przy ulicy Bursztynowej 12.

Radni podjęli również uchwałę o udzieleniu pomocy finansowej Ustce na opracowanie projektu przebudowy wejścia do portu wraz z rozbudową awanportu. Zgodzili się przeznaczyć nań z budżetu powiatu 20 tys. zł. Swoją udział finansowy zadeklarował również

Słupsk (50 tys. zł) i Urząd Morski w Słupsku (380 tys. zł).

Jako ostatnią, radni podjęli uchwałę określającą zadania z zakresu rehabilitacji osób niepełnosprawnych, które mogą być finansowane z zaliczki przekazanej przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Pozwoli ona na szybsze realizowanie wniosków składanych przez osoby niepełnosprawne do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, ubiegających się o różną pomoc, w tym m.in. na dofinansowanie zaopatrzenia w sprzęt rehabilitacyjny i likwidację barier architektonicznych. (P.L.)

W czołówce rankingu

Z początkiem nowego roku Związek Powiatów Polskich ogłosił listę laureatów Ogólnopolskiego Rankingu Gmin i Powiatów 2015 roku. Powiat słupski znalazł się w grupie zwycięzców w kategorii powiatów od 60 do 120 tys. mieszkańców.

Wysoka druga pozycja w Rankingu ZPP, z łączną sumą punktów 41 515, pokazuje, że powiat słupski rozwija się i kładzie nacisk na działania proinwestycyjne i prorozwojowe. Przy ocenie ich komisja wzięła pod uwagę ilość środków pozyskanych z funduszy zewnętrznych i krajowych. Wysoko punktowane były działania upowszechniające rozwiązania ekonoenergetyczne i proekologiczne, m.in. wsparcie finansowe osób

fizycznych i podmiotów, które likwidują pokrycia azbestowe. Wpływ na wynik końcowy w rankingu miały również działania informacyjne, wdrożenia (np. Programu Bezpieczny Urząd ZPP), wielkość środków finansowych wydatkowanych na realizację zadań publicznych przez organizacje pozarządowe oraz działania promocyjne. W tej ostatniej kategorii dużą liczbę punktów powiat słupski otrzymał m.in. za ilość i różnorodność powiatowych konkursów adresowanych do samorządów gminnych i uczniów szkół oraz za imprezy pomagające zachować specyfikę swojego regionu i pielęgnować lokalne zwyczaje.

Wyżej w rankingu znalazł się tylko powiat tomaszowski w województwie lubelskim, zaś trzecie miejsce zajął powiat piotrkowski w województwie łódzkim.



Ogólnopolski Ranking Związku Powiatów Polskich to jedyny w Polsce ranking samorządów zarządzany na bieżąco przez ekspertów w trybie on-line przez cały rok. Celem przedsięwzięcia jest wyłonienie i nagrodzenie najlepszych samorządów w kraju, promowanie ich, a także integracja mieszkańców i środowisk samorządowych.

Samorządy sklasyfikowane w rankingu są oceniane przez ekspertów Związku Powiatów Polskich według wielu kryteriów zgrupowanych w jedenastu grupach tematycznych. Uroczyste ogłoszenie wyników połączone z wręczaniem laureatom dyplomów i nagród odbywa się zawsze na specjalnej konferencji zorganizowanej przez ZPP. (A.K.)

Forum gospodarcze

Delegacja powiatu słupskiego wzięła udział w I Forum Gospodarczym Powiatu Bełchatowskiego.

Powiat bełchatowski współpracuje z powiatem słupskim. Forum odbyło się 2 i 3 lutego w Słoku k. Bełchatowa. Pierwszego dnia uczestnicy wysłuchali wystąpienia na temat możliwości finansowania przedsiębiorstw ze środków publicznych i prywatnych. Doświadczenia w tym zakresie zaprezentowali referenci z Bełchatowsko-Kleszczowskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego, Łódzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego,

Fundacji Rozwoju Gminy Kleszczów, Fundacji Rozwoju Gminy Żelów, Powiatowego

Urzędu Pracy w Bełchatowie oraz PHIN Consulting. Zainteresowaniem cieszył się panel na temat sportowej marki regionu, o której opowiedzie-

li przedstawiciele GKS Bełchatów i Skra Bełchatów. Tego dnia delegacja powiatu słupskiego ze starostą Zdzisławem Kołodziejem i przewodniczącym Rady Powiatu Janem Olechem uczestniczyła również w gali wręczenia nagród przedsiębiorcom, których wyróżniono w konkursie „Firma na Medal”.

Drugi dzień poświęcono współpracy biznesu z samorządami. Potencjał gospodarczy regionu słupskiego i możliwości rozwoju gospodarki przedstawił prezes PARR S.A. Mirosław Kamiński. Program forum obejmował jeszcze m.in. panel poświęcony odnawialnym źródłom energii. (A.K.)



Fot. Pow. Bełchatowski

Edukacja morska

Ponad trzy lata w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce realizowany jest program edukacji morskiej. Uczniowie otrzymują certyfikat ratownika morskiego, świadectwo młodego marynarza i książeczkę żeglarską.

Jest to program autorski kmdra. Dariusza Kłoskowskiego z Centrum Szkolenia

Marynarki Wojennej w Ustce. Obejmuje uczniów liceum i technikum, realizowany jest we współpracy z Centrum Marynarki Wojennej, Urzędem Morskim i Akademią Pomorską w Słupsku oraz Międzynarodową Federacją Szkół Żeglarskich ISSA. Zajęcia odbywają się w usteckiej szkole, w CSMW, w porcie, na pełnym morzu, na poligonie. Biorący w nich udział uczniowie zgłębiają wiedzę niezbędną każdemu marynarzowi lub żeglarzowi, zarówno

teoretyczną, jak i praktyczną przekazywaną im podczas zajęć prowadzonych na profesjonalnym sprzęcie.

Uczniowie klas pierwszej, którzy przystąpili do programu we wrześniu 2012 roku opuścili już mury szkoły z uprawnieniami żeglarskimi, motorowodnymi i ratowniczymi, potwierdzonymi odpowiednimi certyfikatami. Teraz zdobywają je kolejne roczniki. Zdobyte uprawnienia umożliwiają uczniom zatrudnienie w

gospodarce morskiej od razu po ukończeniu szkoły, a w dalszej perspektywie - dojścia poprzez ukończenie kolejnych kursów nawet do stopnia kapitana żeglugi wielkiej.

Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce jest jedyną szkołą, która realizuje program edukacji morskiej i daje możliwość uczniom zdobycia dodatkowych uprawnień, a w przyszłości interesującej i odpowiedzialnej pracy na morzu. (ZSOiT)

Statuetka za matematykę

Komitet Honorowy Roku Matematyki na Pomorzu wyróżnił specjalną statuetką powiat słupski za różnorodność i pomysłowość zrealizowanych inicjatyw matematycznych.

21 stycznia na dziedzińcu Fahrenheita Politechniki Gdańskiej odbyła się konferencja podsumowująca Rok Matematyki na Pomorzu. Pomysłodawcą takiego roku był Uniwersytet Gdański, a włączyła się również Akademia Pomorska w Słupsku i Politechnika Gdańska. Akcję, której patronował Sejmik Województwa Pomorskiego

skierowano do uczniów i nauczycieli szkół podstawowych, gimnazjalnych oraz ponadgimnazjalnych. Towarzyszyły jej różnorodne działania promujące matematykę. Odbyło się ponad 300 konkursów, w których wzięło udział prawie 22 tys. uczniów.

Znakomitą frekwencją oraz kreatywnością w Roku Matematyki wyróżnili się pedagodzy i uczniowie powiatu słupskiego. Wzięli udział w wielu happeningach matematycznych, zabawach, konkursach, warsztatach, wystawach, pokazach i projekcji filmowych. Królowa nauk była również źródłem zaskakujących inspiracji: „Mate-



Fot. ZSA

matyka na talerzu - smakołyki na rok matematyki”, „Najładniejszy Strój Matematyczny”,

„Najprzystojniejszy Matematyk Szkoły”, „Strzel fotę liczbie π ”. (ZSA)

Komu należy się pomoc prawna

Od 4 stycznia rozpoczęły działalność punkty nieodpłatnej pomocy prawnej dla mieszkańców powiatu słupeckiego. Powstały cztery takie punkty: dwa w Słupsku oraz po jednym w Głównychach i Kępach.

Komu należy się nieodpłatna pomoc prawna? Należy się osobom fizycznym, które spełniają jedną z poniższych przesłanek: w okresie 12 miesięcy poprzedzających zwrócenie się o taką pomoc miały przyznane świadczenie z pomocy społecznej na podstawie ustawy z 12 marca 2004 r. o pomocy społecznej, i wobec których w tym okresie nie wydano decyzji o zwrocie nienależnie pobranego świadczenia; posiadają ważną Kartę Dużej Rodziny, o której mowa w ustawie z 5 grudnia 2014 r. o Karcie Dużej Rodziny; uzyskały zaświadczenie, o którym mowa w ustawie z 24 stycznia 1991 r. o komb-

tantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego; posiadają ważną legitymację weterana albo weterana poszkodowanego, o których mowa w ustawie z 19 sierpnia 2011 r. o weteranach działań poza granicami państwa; nie ukończyły 26 lat; ukończyły 65 lat; w wyniku wystąpienia kł-

ski żywiołowej, katastrofy naturalnej lub awarii technicznej znalazły się w sytuacji zagrożenia lub poniosły straty.

Udzielanie nieodpłatnej pomocy prawnej polega na: poinformowaniu osoby uprawnionej o obowiązującym stanie prawnym, o przysługujących jej uprawnieniach lub o spoczywających na niej obowiązkach, lub wskazaniu takiej osobie sposobu rozwiązania jej problemu

prawnego; na udzieleniu pomocy w sporządzeniu projektu pisma w powyższych sprawach, z wyłączeniem pism procesowych w toczącym się postępowaniu przygotowawczym lub sądowym i pism w toczącym się postępowaniu sądowo-administracyjnym; na sporządzeniu projektu pisma o zwolnienie od kosztów sądowych lub ustanowienie pełnomocnika z urzędu w postępowaniu sądowym, lub ustanowienie adwokata, radcy prawnego, doradcy podatkowego lub rzecznika patentowego w postępowaniu sądowo-administracyjnym.

Udzielanie nieodpłatnej pomocy prawnej nie obejmuje: spraw podatkowych związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej; spraw z zakresu prawa celnego, dewizowego i handlowego oraz spraw związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej, z wyjątkiem przygotowania do rozpoczęcia tej działalności.

Paweł Lisowski
Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Laureaci konkursu

W siedzibie starostwa podsumowano czwarty konkurs fotograficzny dla młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych pn. „Dbam o zdrowie – Nie palę papierosów”.

Konkurs organizuje co dwa lata Starostwo Powiatowe z Powiatową Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną. Wpłynęło 55 prac od trzydziestu autorów z dwunastu szkół. Jedenaście komisja nie zakwalifikowała do oceny, gdyż nie spełniały warunków konkursu. Pierwszych nagród nie przyznano. W kategorii młodzieży szkół gimnazjalnych prawie wszystkie nagrody zgarnęli uczniowie Gimnazjum w Głównychach: Paulina Kaszkur za pracę „Zdrowie czy choroba? - Ty wybierasz”, Filip Masłowski za pracę „Od początku do końca” i Darii Świętorecka za pracę „To nie przypadek”. Wyróżnienie otrzymała też Ju-

lia Jakimowicz z Gimnazjum Nr 3 w Słupsku za pracę „Wybieram zdrowie”.

W kategorii młodzieży szkół ponadgimnazjalnych laureatami zostali: Patrycja Stępień z IV Liceum Ogólnokształcącego im. K. K. Baczyńskiego

w Słupsku za pracę „Moja wolność, moja poezja” i „Mój nowy cel”, Anna Karnicka z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce za pracę pt. „Zapach wolności”.

Spośród szkół gimnazjalnych najwięcej prac na konkurs nadesłała młodzież z Gimnazjum w Głównychach, a spośród

szkół ponadgimnazjalnych - z Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku. Zdjęcie Patrycji Stępień posłużyło do zilustrowania promocyjnego kalendarza na 2016 rok, który otrzymali wszyscy laureaci konkursu i wszystkie szkoły w powiecie słupskim. (D.R.)



Fot. J. Maziejuk

Nuty poezji

W Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce odbył się I Ustecki Konkurs Poezji Śpiewanej „Burszynowe Nuty Poezji”.

Do konkursu zaproszono młodych wykonawców ze szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych Słupska oraz powiatu słupskiego. Wśród najmłodszych uczestników nagrodzono: Żaklinę Mike i Natalię Łepkowską ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce oraz Sandrę Gałęzkę ze Szkoły Pod-



stawowej nr 5 w Słupsku. W kategorii gimnazjów: Julię Nowacką z Gimnazjum nr 2 w

Słupsku, Izabelę Kleinsmidt z Gimnazjum im. gen. Żaruskiego w Ustce i Paulinę Kasperek

z Gimnazjum nr 3 w Słupsku. Przyznano także dwa wyróżnienia - Weronice Kielpińskiej z Gimnazjum nr 2 w Słupsku i Alicji Petrusiewicz z Gimnazjum nr 6 w Słupsku.

W kategorii szkół ponadgimnazjalnych przyznano ex aequo dwa pierwsze miejsca: Mai Mędrak i Katarzynie Dacków z I LO w Słupsku, drugie - Wiktorii Brych z V LO w Słupsku, trzecie - Milenie Nadrowskiej z ZSOiT w Ustce, Piotrowi Kamińskiemu z I LO w Słupsku - wyróżnienie.

Nagrodę publiczności otrzymała Milena Nadrowska za wykonanie utworu „W porcie Amsterdam”. (LO)



Fot. ZSA Słupsk

Gdynia Game Festival

Uczniowie z klasy technik informatyk Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku pomagali przy organizacji prestiżowego Gdynia Game Festival.

Słupscy uczniowie przygotowali stanowiska komputerowe, konfigurowali komputery, budowali strukturę okablowania sieciowego, nadzorowali przebieg turniejów. Gdynia Game Festival to prestiżowa, trzydniowa impreza, odbywająca się w Hali Sportowo-Widowskiej Gdynia Arena oraz

Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym. Jej program wypełniają konferencje edukacyjne i technologiczne, warsztaty innowacji, walki robotów, prezentacje dronów i drukarek 3D, turnieje e-sportowe.

Miłośnikom nowych technologii udostępniono innowacyjne produkty, usługi oraz wynalazki, ukrywane na co dzień za murami wyższych uczelni. Udział w przygotowaniu tego festiwalu wzbogacił uczniów o nowe doświadczenia, które przydadzą się im na egzaminach zawodowych. (ZSA)

Wystawa gołębi

1262 gołębie 91 ras, w tym niespotykane w kraju swifty egipskie, biało-główki elbląskie, mewki orientalne i sroczyki niemieckie koziotkujące można było podziwiać na XVIII Środkowopomorskiej Regionalnej Wystawie Gołębi Rasowych i Drobnego Ozdobnego w Kobylnicy.

Wystawę (9 i 10 stycznia) zorganizował Środkowopomorski Związek Hodowców Gołębi Rasowych i Drobnego Inwentarza z Kosza-

lina. W tym roku wzięło w niej udział 91 hodowców ptaków, w tym głównie gołębi. Wystawione ptaki podlegały ocenie sędziów związku, którzy zwracali uwagę na: wygląd głowy, oczu, dzioba, skrzydeł, ogona i nóg. Punkty dodatkowe przyznawali za ogólną postawę i figurę.

W każdej rasie wyłoniono zwycięzcę. Starosta słupski Zdzisław Kołodziejowski swój puchar przyznał Adamowi Walczakowi za gołębia turkot arabski. Wystawa na stałe wpisała się do kalendarza styczniowych imprez w powiecie słupskim i cieszy się coraz większym zainteresowaniem hodowców. (A.K.)



Fot. J. Maziejuk



Powiat
www.powiat.slup



Miliony na bezrobociu

Rozmowa z Pawłem Kądziałą – dyrektorem Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku.

- Czy w 2015 roku zmieniła się sytuacja na lokalnym rynku pracy?

- Jeżeli porównamy stan bezrobocia na koniec grudnia 2014 i 2015 roku to zauważymy spadek liczby osób zarejestrowanych. Pod koniec grudnia 2014 roku było ich 10.670, a pod koniec 2015 roku - 7.967, czyli o 2.703 mniej! Więcej w ubiegłym roku było ofert pracy - średnio miesięcznie 900, a jeszcze dwa lata temu - 600 miesięcznie. Zatem, można powiedzieć, że był to dobry rok w działalności Powiatowego Urzędu Pracy.

- Ile kosztowało budżet państwa słupskie i powiatowe bezrobocie w minionym roku? Na co pieniądze były wydawane?

- W ubiegłym roku na pomoc osobom bezrobotnym pozyskaliśmy 21 milionów 806 tysięcy złotych. Po Urzędzie Pracy w Gdańsku - najwięcej w województwie pomorskim. Fundusze te przeznaczali-

śmy na aktywizację zawodową zarejestrowanych bezrobotnych, to jest na organizację szkoleń, staży u pracodawców, prac interwencyjnych, robót publicznych, udzielanie dotacji na otwarcie własnej działalności gospodarczej, na utworzenie nowych miejsc pracy. Ze środków tych finansowane były również cieszące się coraz większą popularnością bony szkoleniowe, stażowe, zatrudnieniowe i na zasiedlenie. W ubiegłym roku własną firmę, dzięki otrzymanej pomocy finansowej, otworzyło 205 osób bezrobotnych, a pracodawcy utworzyli dla bezrobotnych 198 nowych stanowisk pracy.

- Czy wiadomo już jakimi środkami będzie dysponował Powiatowy Urząd Pracy w bieżącym roku i na co zostaną one przeznaczone?

- Na 2016 rok na aktywne formy pomocy osobom bezrobotnym otrzymaliśmy 19,5 miliona złotych.

Podział środków na poszczególne formy pomocy został zaopiniowany przez Powiatową Radę Rynku Pracy. Przy ich podziale kierowano się tym, jak były wykorzystywane fundusze na poszczególne działania w latach wcześniejszych. Innymi słowy: o wykorzystaniu przydzielonych urzędowi pracy środków decyduje zainteresowanie bezrobotnych, a także przedsiębiorców oferowanymi formami pomocy oraz ich efektywnością. W rozliczeniu realizowanych programów kierowanych do bezrobotnych efektywność podejmowanych działań odgrywa bardzo ważną rolę. Jest jednym z głównych wyznaczników ich skuteczności i zasadności dalszego stosowania.

- W ubiegłym roku urząd pracy otrzymał m.in. środki na kształcenie i podnoszenie kwalifikacji pracowników już zatrudnionych w firmach. Jakiego rzędu były to pie-

niądze i ile osób skorzystało z organizowanych szkoleń?

- W 2015 roku urzędy pracy otrzymały środki z Krajowego Funduszu Szkoleniowego, który został utworzony ze środków Funduszu Pracy z myślą o wsparciu kształcenia ustawicznego pracodawców oraz pracowników. Celem Krajowego Funduszu Szkoleniowego jest zapobieganie utracie zatrudnienia przez osoby pracujące z powodu kompetencji nieadekwatnych do wymagań zmieniającej się gospodarki. Za otrzymane pieniądze organizowane są kursy i studia podyplomowe z inicjatywy pracodawcy lub za jego zgodą. W ubiegłym roku nasz urząd na ten cel otrzymał 663,7 tysięcy złotych. Dzięki nim swoje kwalifikacje podniosło 281 osób zatrudnionych w firmach z różnych branż. W tym roku na ten cel otrzymaliśmy 773 tysięcy złotych, co pozwoli na przeszkolenie większej liczby osób. W tym roku z pieniędzy tych będzie mogła skorzystać większa grupa osób, ponieważ zniesiono obowiązujące w ubiegłym roku kryterium wiekowe. W 2015 roku w ramach tej formy szkolić mogli się tylko pracownicy po 45 roku życia, w tym roku skorzystać mogą wszyscy.

- Został pan dyrektorem Powiatowego Urzędu Pracy w listopadzie ubiegłego roku. Jakie szczególne

wyzwania stoją przed panem i pracownikami urzędu?

- Na pewno będziemy musieli skupić się na pracy polegającej na przywracaniu osób długotrwale bezrobotnych na rynek pracy. Przy zmniejszającej się liczbie zarejestrowanych osób takie działania będą możliwe. Wprowadzone w 2014 roku profilowanie osób zarejestrowanych w urzędzie spowodowało podział bezrobotnych na 3 grupy - profile - pomocy: I przewidziany dla osób aktywnych, II przewidziany dla osób wymagających wsparcia i pomocy, III dla osób oddalonych od rynku pracy. Osoby bezrobotne z profilu III najtrudniej przywrócić na rynek pracy, bowiem albo utraciły całkowicie motywację do pracy i jej poszukiwania, albo w zamierzony sposób unikają wszelkich form pomocy, bowiem ich celem jest bardzo często utrzymanie statusu bezrobotnego z uwagi na możliwość korzystania z systemu ubezpieczeń społecznych. Są to osoby, które nie mają żadnego lub małe doświadczenie zawodowe, albo mają długą przerwę w zatrudnieniu. Często wskazują na ograniczenia zdrowotne, niepotwierdzone orzeczeniem o niepełnosprawności, jednak stanowiące w ich opinii barierę nie do pokonania w powrocie na rynek pracy.

Bezrobotni z tego profilu stanowią 48 procent ogółu bezrobotnych.

Z takimi osobami należy intensywnie pracować i zachęcać ich do powrotu do pracy, chociażby poprzez wspieranie centrów integracji społecznej, czy organizowanie Programu Aktywizacja i Integracja. W ubiegłym roku działania w ramach tego ostatniego programu objęły 40 osób bezrobotnych w Słupsku i gminach: Dębica Kaszubska, wiejskiej Słupsk i Smołdzino. Ze złożonego sprawozdania wynika, iż założenia programu zostały zrealizowane. Zatrudnienie znalazło 19 osób, pozostałym zmieniono profil pomocy z III na II. W tym roku programy aktywizacyjne i integracyjne będą realizowane w gminach: Głównicy, Ustka, Kobylnica i Damnica, w każdej gminie uczestniczyć będzie po 10 osób. W ramach Zintegrowanego Porozumienia Terytorialnego urząd będzie partnerem w realizacji tych programów. Naszym zadaniem będzie organizacja prac społecznie użytecznych. W 2016 roku w każdej gminie powiatu słupskiego osoby bezrobotne będą mogły uczestniczyć w takim programie.

- W ubiegłym roku na terenie działania Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku odnotowano zwiększoną liczbę pracowników zza wschodniej granicy. Jak przedstawia się ta kwestia?

Dzisiaj w urzędzie mamy zarejestrowanych prawie osiem tysięcy bezrobotnych i otrzymujemy informacje od pracodawców, że coraz trudniej znaleźć im chętnych do pracy. Dlatego coraz częściej zmuszeni są zatrudniać obcokrajowców. Zgodnie z obowiązującymi przepisami w Polsce pracodawca może zatrudnić obywateli sześciu krajów: Armenii, Białorusi, Gruzji, Mołdawii, Rosji i Ukrainy - na okres nie dłuższy niż sześciu miesięcy. Warunkiem zatrudnienia jest zarejestrowanie w naszym urzędzie oświadczenia o zamiarze powierzenia pracy obcokrajowcowi. W ubiegłym roku zarejestrowaliśmy 946 takich oświadczeń, ponad 90 procent dla obywateli Ukrainy, którzy znaleźli zatrudnienie głównie w firmach zajmujących się przetwórstwem rybnym. Dla porównania, w 2014 roku zarejestrowaliśmy tylko 223 takie oświadczenia. Sytuacja ta spowodowana jest też tym, że nasi bezrobotni często nie mogą podjąć pracy ze względu na brak możliwości dojazdu do niej.

**Rozmawiał:
Marcin Horbowy, Słupsk**



Gospodarka ma swego reprezentanta

Plany są ambitne i wychodzą naprzeciw lokalnym problemom. Do najważniejszych w bieżącym roku należą prace przygotowawcze do Forum Gospodarczego Izb z obszaru Morza Bałtyckiego i miast zaprzyjaźnionych.

Rozwojowi gospodarczemu regionu zawsze towarzyszy przyspieszone oddziaływanie na wszystkie sfery życia społecznego. W ekonomice jest to dobrobyt mieszkańców, który zapewnia realizację wszelkich oczekiwań. Uwzględniając stare jak świat prawa ekonomiczne, podjąłem się próby napisania o roli jaką odgrywa Słupska Izba Przemysłowo-Handlowa w rozwoju gospodarczym ziemi słupskiej. Z założenia wspiera ona, promuje i ułatwia działalność lokalnym przedsiębiorcom. Przyświeca jej misja na rzecz rozwoju gospodarczego, w tym rozwoju przedsiębiorczości, w szczególności na obszarze regionu słupskiego oraz wspieranie wszystkich przedsiębiorstw i przedsiębiorców na zintegrowanym rynku Unii Europejskiej.

Innymi słowy: reprezentuje ona zrzeszone podmioty wobec organów państwowych i samorządu terytorialnego oraz tych instytucji i organizacji, które mają wpływ na ich działalność gospodarczą. Prowadzi aktywną współpracę z władzami Słupska, powiatu słupskiego oraz gminami regionu słupskiego, a także ważnymi lokalnymi instytucjami życia gospodarczego i naukowego.

Historia słupskiej izby sięga ubiegłego stulecia i działalności w Słupsku niemieckiej izby, której przewodniczył ówczesny właściciel młyna Bernhard Kauffman. Obejmowała ona wówczas swoją działalnością cały okręg koszaliński, a siedzibę miała w Słupsku. Po drugiej wojnie światowej, w 1950 roku zlikwidowano wszystkich izby przemysłowe w Polsce. Samorząd gospodarczy odrodził się dopiero w 1989 roku, w wyniku transformacji ustrojowo-gospodarczej. W oparciu o ustawę z 30 maja 1989 roku o izbach gospodarczych, 31 maja 1993 roku Słupski Oddział Gdańskiej Izby Przemysłu i Handlu, który po-

wstał po 1989 roku przekształcił się w samodzielną jednostkę i powstała Słupska Izba Przemysłowo-Handlowa. Pomysłodawcą jej powołania był, dziś już nieżyjący, Stanisław Staniuk - pierwszy prezes izby, a później jej prezes honorowy.

Obecnie, po wielu latach, Słupska Izba Przemysłowo-Handlowa stanowi bez wątpienia trwały element życia gospodarczego regionu. Jest liczącym się partnerem dla przedsiębiorców oraz lokalnych i wojewódzkich władz samorządowych. 1 listopada 2009 roku przeniosła się do pięknej, zabytko-

wej kamienicy przy reprezentacyjnej alei Sienkiewicza - tam gdzie przed wojną znajdowała się siedziba niemieckiej izby. Lokalizacja biur w tym budynku pozwoliła kontynuować jej tradycje słupskiego samorządu gospodarczego i umożliwia organizowanie międzynarodowych sympozjów i narad, co ma szczególne znaczenie w Zjednoczonej Europie.

Słupska izba zrzesza dziś około sto firm, zyskała prestiż i poparcie licznych przedsiębiorstw, które wspólnym działaniem zaznaczają swój wpływ na rozwój regionu. Wiele



z nich, dzięki współpracy ze SIPH, zawdzięcza swoje obecne funkcjonowanie, a nawet istnienie. Dzieje się tak, ponieważ pomoc udzielana członkom w trudnych dla nich sytuacjach jest jednym z priorytetowych zadań gospodarczego samorządu.

Członkowie izby mają swobodny i pełny dostęp do szerokiej sieci nawiązanych przez nią kontaktów w Polsce i poza jej granicami. Przynależność ta nobilituje firmę i sprawia, że nie jest ona anonimowa, a jednocześnie potwierdza jej solidność i wiarygodność wobec kontrahentów.

Słupska Izba Przemysłowo-Handlowa stale zachęca do korzystania z wszystkich jej usług i dzielenia się swoimi problemami, oferując pomoc we wspólnym znajdowaniu skutecznych rozwiązań. Przedsiębiorca może uzyskać stosowne informacje i profesjonalną poradę. Ma to istotne znaczenie, zwłaszcza w sytuacji zmieniających się przepisów prawa pracy oraz zasad dotyczących prowadzenia działalności gospodarczej i ich dostosowania do zasad obowiązujących w Unii Europejskiej.

Szczególne znaczenie w działalności Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej ma aktywne wspomaganie młodych przedsiębiorców, którzy dopiero rozpoczęli działalność gospodarczą. Mogą korzystać z doświadczeń w prowadzeniu firmy, adaptacji na rynku i radzenia sobie z silną konkurencją. Pomaga im nawiązywać kontakty i współpracę z innymi przedsiębiorcami. Gromadzi i udostępnia informacje i zapytania ofertowe oraz promuje ich na portalach gospodarczych. Zapewnia udział w szkoleniach, konferencjach, misjach gospodarczych i działaniach promocyjnych. Przy izbie działa Sąd Arbitrażowy, który rozstrzyga polubownie ewentualne spory gospodarcze.

Niedawno dokonano wyboru nowych władz izby. Prezesem jej został ponownie Jan Czechowicz, właściciel firmy Plasmet w Widzinie. Wybrano go na czteroletnią kadencję. Z dniem 1 grudnia 2015 roku powołano również na stanowisko dyrektora biura Ryszarda Kurpiela, doświadczonego samorządowca, piastującego ostatnio

kierownicze funkcje w jednostkach samorządu terytorialnego.

Plany słupskiej izby są ambitne i wychodzą naprzeciw lokalnym problemom. Do najważniejszych w bieżącym roku należą prace przygotowawcze do Forum Gospodarczego Izby z obszaru Morza Bałtyckiego i miast zaprzyjaźnionych, które ma się odbyć w 2017 roku. We współpracy z władzami Słupska i powiatu słupskiego będzie kontynuowany konkurs „Srebrnego Niedźwiedzia”. Członkowie izby zaproponowali również opracowanie programu rozwoju lokalnej przedsiębiorczości, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi młodych i pozostających bez pracy oraz stworzenie w siedzibie władz samorządowych specjalnego stanowiska do obsługi przedsiębiorców. Uważają też, że należy wdrożyć na szerszą skalę preferencje podatkowe dla firm tworzących nowe miejsca pracy i podjąć się organizacji corocznych spotkań przedsiębiorców z lokalnymi władzami samorządowymi, by się informować o planach samorządów.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. SIPH

Słowa, gesty, czyny

Za kilka lat wejdą nowe komputerowe firmy, zaleją rynek nowe mody, dyski nawet te twarde ktoś wyczyści. Ostaną się perły, jeśli już w ogóle zostaną, a o ich wydobytcu zadecydują nie wartości, jakie dzisiaj uznajemy, ale nowe, często nieoczekiwane nawet trendy.



Ileż to razy my, poeci pisaliśmy o nadmiarze słów w poezji? Ileż razy my, pisarze narzekaliśmy na nadmiar literatury, której nikt nie czyta, albo którą, choćby nie wiem jak się starać, trudno sobie przyswoić, bo fizycznie przerasta możliwości czytelnicze. Ile też razy napominałem młodych uczniów sztuki pisarskiej, że nie należy liczyć dzisiaj na to, że jeśli cię nie docenią za życia, to na pewno, nie ludź się, po śmierci tym bardziej ci to nie grozi.

Nie te to już czasy, literatura nie jest już rarytasem, jest raczej chlebem na tyle powszednim, że jak czerstwe pieczywo może posłużyć jedynie jako surowiec wtórny.

Tak, nadmiar słów jest uciążliwy nie tylko dla nas, piszących, jest także od dłuższego już czasu i zmorą czytelników. Tym większą, jeśli do tego dołączy się te lawiny słowo-mowy spoza szlachetnego pisarstwa, płynące wartościami strugami z popularnego Internetu. Tam też, nie ludźmy się, słowo

na wieki nie pozostanie. Za kilka lat wejdą nowe komputerowe firmy, zaleją rynek nowe mody, dyski nawet te twarde ktoś wyczyści. Ostaną się perły, jeśli już w ogóle zostaną, a o ich wydobytcu zadecydują nie wartości, jakie dzisiaj uznajemy, ale nowe, często nieoczekiwane nawet trendy.

Co do wartości, jakimi kieruje się literatura, wątpliwości mam dzisiaj wiele, gdyż człowiek jako jednostka po prostu (tu ciśnie mi się rym pod pióro, ale napiszę inaczej) też samostannie zaniża je w sobie, społecznie i medialnie mocno ubożeje. Tracąc z pola widzenia autorytety moralne z najwyższej półki, zarówno te od Boga, jak i człowieka pochodzące, sam niejako dewaluuje się w oczach innych, staje się „obywatelem gorszego sortu”, a to oznacza, że można się z nim nie liczyć, zlekceważyć go, sponiewierać.

Moja matka powiedziałaby: Jan Paweł II w grobie się przewraca, widząc jak naród podchodzi dzisiaj do

dekalogu, jak szukając dróg wyjścia z kryzysu, sięga po nienawiść, podąża szlakiem pogardy dla współbraci, jak wtapia się w strumienie płynącego zewsząd zła, tonie w mętnej wodzie fałszu i obludy. A pamiętam czasy, gdy było naprawdę dla naszego społeczeństwa ciężko, gdy groziła nam interwencja z zewnątrz, wojna domowa, gdy poruszaliśmy się po krawędzi. I kiedy trzy przeciwstawne sobie siły potrafiły ze sobą się spotykać, rozmawiać. Znajdowały wspólną drogę porozumienia oddalającą tragedię walki ulicznej, dramat wojny. Kiedy prymas Polski z przywódcą robotników i zwierzchnikiem „jedynie słusznej wówczas partii” od słów sięgających zamęt w umysłach i sercach, potrafili przechodzić do prostych gestów pojednania, tłumić gniew buntowników, ale też i znajdować wyjścia z beznadziejnych wydawałoby się często sytuacji.

„Przekażcie sobie znak pokoju”, Przestrzegajcie nakazów dekalogu - słów wyrytych na wieki w kamiennych tablicach, które Mojżesz zniósł z góry Synaj i przekazał chrześcijanom, by stanowiły dla nich fundament ich wiary. - Nie bluźnij, nie zabijaj, nie kradnij, nie dawaj fałszywego świadectwa, kochaj bliźniego swego, jak siebie samego... itd., etc. - przecież to tylko słowa. Słowa nic więcej, ale na nich budowano świątynie, na ich fundamentach opierają się kultury narodów, w ich mocy utrwala się porządek świata, trwa pokój, buduje się szczęście i dostatek społeczeństw.

Przepraszam za mentorstwo tego wywodu, ale nie mogąc milczeć, nie mogę też nie mówić prawdy. Prawdy, która się przecież nie na ideologii opiera, lecz na nauce. Na prawach boskich i od wieków przez człowieka stanowionych, ale zgodnych z nauką, z wiedzą mędrców i uczonych. Mędrców i uczonych! - powtarzam. Nie panów posłów - urzędników doraźnie zarządzających naszym krajem. Urzędasów, którym się marzy, by zepchnąć kraj w przepaść domowej wojny.

Nie ma gorszej rzeczy od nienawiści. Nie ma większego zła niż zło wyrządzane sobie przez nas samych. Gdy poprzez słowa siejące nienawiść, burzące pokój w ludzkich sercach, czynimy wojenne gesty, gotujemy sobie zagładę. Słowa, słowa, słowa. / Wiatr je zimny strąci. \ Pozamiata drogi, którymi idziemy. \ I tylko ci-sza znów w uszach zadźwięczy. \ Ci-sza nad wszystkim, co oprócz kamie-ni, \ wypełniało przestrzeń, w której dziś żyjemy.

Czy chcemy tego? Czy w tę stronę naprawdę powinniśmy podążać? Spójrzmy na świat wokół. Rozejrzyjmy się uważnie wokół siebie. Komu zależy na tym, byśmy pograżyli się w narodowych waśniach, w zamęcie, niepokoju? Komu chcemy zaimponować my - naród, który ćwierć wieku temu zburzył mury pomiędzy czerwoną Europą i Zachodem? My - naród, który ćwierć wieku później usiłuje na nowo stawiać płoty na granicach z naszymi sąsiadami?

Jako pisarz unikam jak ognia wszelkich deklaracji. Pisarz nie jest politykiem, to obserwator, który bacznie słucha innych, obserwuje i opisuje. Zresztą jak inni żyjący kiedyś w PRL byłem w sposób naturalny w politykę wpłątany. Kto raz się sparzył, temu trudno się przemóc, by znowu zaufał. By brał na siebie czyjeś gesty, czyny. (By sparzony srodze, na zimne nie dmuchał).

Myślę, że właśnie takie stanie z boku, nieaktywne obserwowanie uprawnia mnie do tego, bym tym tekstem zaprotestował przeciwko temu, co dzieje się na forach internetowych. A dzieje się jak nigdy dotąd: źle, wręcz zatrważająco. Język, nasz piękny język ojczysty stał się tak odległy od prawdziwej polszczyzny, że aż serce się trwoży, że potrafimy być tak nieobliczalni, plugawi w obelgach wobec innych. Tak się dzieje po każdej zaistniałej sytuacji politycznej w kraju. Ludzie wzajemnie opluwają się najgorszymi słowami na face booku, w komentarzach pod informacjami prasowymi, w publicystycznych programach telewizyjnych, wszędzie tam, gdzie ktoś odważy się wyrazić swój odmienny polityczny pogląd, osąd jakiejś sytuacji.

W rozumieniu demokracji przez wielu z nas korzeni się prawo i plenią się uzurpowane sobie przywileje do opluwania autorytetów moralnych dostojników Kościoła, państwa... Ba,

wójta, sołtysa nawet, który ma odwagę mieć swoje odmienne od nas poglądy. To nie jest właściwa droga, którą powinniśmy podążać chociażby w tych trudnych czasach, gdy nasi sąsiedzi borykają się z problemem wirusa wojny eksportowanego przez państwo ISIS do naszej wspólnej Europy. To nie jest dobry czas, by skakać sobie do gardeł, gdy światu zagraża tyle niebezpieczeństw graniczących z apokalipsą.

Źle to świadczy o nas, gdy publicyści nie dostrzegają tego, że gdzieś na krańcach świata, w odległej Afryce zwierza szyki przeciwko Europie państwo ISIS. Źle to wszystko rokuje. Drży moje serce, serce publicysty.

Demokracja, przepraszam nie chcę być mentorem, ale to nie jest prawo do tępienia w imieniu swojej partii praw innych ugrupowań. To nie jest prawo do mówienia innym, że tylko my mamy rację. By nawoływać do zemsty za to, że ktoś ma inne poglądy. Świat w jakim żyjemy, już od wieków powoduje, że w krwi większości z nas tkwią domieszki przerozmatych i przedziwnych czasami przodków. I nie tylko we krwi, jak czasami

pozwalam sobie myśleć, ale i w umysłach także. Nie byłby bowiem - gdyby tak nie było - możliwy taki galimatias kulturowy.

A tak na marginesie pytanie: Czy szatan może nosić cegłę na budowę świątyni? Otóż nie może. Bo szatan jest symbolem zła i nigdy innym nie będzie. Zatem nawet gdyby ową cegłę nosił, gdyby brał udział w budowaniu fundamentów świątyni, to tylko po to, by czynić zło. By za jego udziałem mury owej świątyni kiedyś upadły.

Tak. Słowa, burzące umysły ludzi słowa lecą zewsząd. Towarzyszą im coraz częściej nieprzyjemne gesty. A potem... mogą się obudzić diabelskie czyny. Taka zwykle bywa kolej rzeczy. Pamiętajmy o tym. To nie tylko dzisiaj dotyczy poezji. \ To nie tylko prozy dopadło i trzyma. \ To jest jak kamień, co uderza w serce, \ jak ogień co pali, jak skalna lawina. \ \ To pędzi, zmiata i kurz wznieca wokół. \ To słowna lawina, której się lękamy. \ Która jak potwór w szaleńczym amoku, \ chce zemsty, sieje grozę, chce pić krew, zabijać.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz



Rysuje Zdzisław Opatko

Nasz problem

Najwyższy czas zająć się problemem równowagi w rolnictwie. Nie bez znaczenia na terenach o unikalnych zasobach środowiska jest estetyka krajobrazu i negatywne oddziaływanie niektórych budowanych instalacji.



Fot. J. Maziejuk

Wszyscy dyskutujemy ostatnio na temat nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Każdy z nas ma niby własne zdanie na ten temat, a tak naprawdę powtarzamy opinie wygłaszane w TVP przez polityków, w zależności od opcji którą popieramy.

Zajmujemy się wielkimi wydarzeniami, tymczasem w gminie czy powiecie też dzieje się wiele. Tu, gdzie możemy mieć wpływ na zmiany, dys-

kutujemy o nich sporadycznie, a w przypadku propozycji działań - często wątpimy: czy warto?

Szkoda, że tak podchodzą do problemu ludzie, którzy z racji pełnionych funkcji odpowiadają za zmiany i pobierają za to wynagrodzenie z naszych, podatników pieniędzy. Nasuwa się pytanie: rutyna to czy brak profesjonalizmu?

Oto, z rozmowy z pracownikiem samorządu na temat ochrony środowiska zamieszczonej w „Powiecie Słupskim”, dowiedziałem się, że to gmina Ustka wie prym w budowie falochronu chroniącego brzeg morza i odpowiada za bezpieczeństwo żeglugi na Bałtyku. Problemem wójta jest utylizacja gazów bojowych z czasu II wojny zatopionych w morzu. Rzeczywiście, te środki chemiczne są poważnym problemem nas wszystkich. Czy gmina może się z nim zmierzyć?

Z tego co wiem, opracowana jest metoda utylizacji tych związków. Ze względu na koszt, nawet na szczeblu międzypaństwowym, trudna do realizacji. Ani gmina, ani powiat czy województwo ze swoimi budżetami, nic nie są w stanie zdziałać. Para w gwizdek? Szkoda, że w wywiadzie nie poruszono tematu budowy siłowni wiatrowych. I nie chodzi mi o same wiatraki, a o znany rolnikom tzw. „gospodarski porządek”. Jakość tych inwestycji, sposób ich realizacji, lokalizacja i zagospodarowanie terenu, zależy od urzędu gminy.

Jak dbałość o potencjał gminy, mieszkańców czy prawne wymogi dotyczące zagospodarowania terenu, mają się do wydanego ostatnio wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego dotyczącego kilku siłowni wiatrowych na naszym terenie? Dodam: wyroku ostatecznego, bez możliwości odwołania się. Czy zrealizowana inwestycja nie jest samowolą budowlaną? Kto poniesie koszty, gdy dojdzie do rozbiórki wiatraków? Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba tego robić.

Głównym problemem nie są wiatraki tylko jakość działań na terenach rolniczych i ich przewidywany skutek. Wystarczy popatrzeć na teren po realizacji takich inwestycji w Starkowie czy Duninowie. A przecież to co wiadać gołym okiem, to tylko część problemu. Tereny rolnicze przeznaczone są pod produkcję żywności, zwłaszcza na ziemi III i IV klasy bonitacji.

Według danych światowych, to co ziemia wytworzyła w ostatnim ro-

ku - „zjadamy” do końca sierpnia. Tak więc przez prawie pół roku żyjemy na kredyt. Czy ktoś myśli o potencjale produkcyjnym naszych pól dziś i w przyszłości? Czy mówiąc o wydajnościach z hektara, pamiętamy o jakości żywności? Z doświadczenia popartego wieloma latami pracy w ośrodku doradztwa rolniczego wiem, że upraszczając technologię produkcji zaniechano całego zestawu działań odtworzenia i utrzymania właściwej wartości produkcyjnej gleb. A to tylko doraźna i zgubna oszczędność.

Najwyższy czas, aby zająć się problemami równowagi w rolnictwie. Nie bez znaczenia na terenach o unikalnych zasobach środowiska, a takie mają nadmorskie gminy, jest estetyka krajobrazu i negatywne oddziaływanie niektórych budowanych instalacji. Tym bardziej, że tak wiele mówi się dziś o turystyce, wypoczynku i leczeniu sanatoryjnym.

W wywiadzie zaskoczyła mnie chęć eksploatacji torfu. Z punktu korzyści środowiska, torfowiska to skarb. Ich eksploatacja - sądząc po innych działaniach - może okazać się dewastacją terenów. Szczególnego znaczenia nabierają torfowiska w ocieplającym się klimacie. Jako rezerwuuar wody łagodzą skutki zmian w ekosystemie. Mam jednak nadzieję, że nie dojdzie mimo wszystko do wydobycia torfu i zeszpecenia terenu.

Mówiąc też o estetyce, przecież jak cię widzą - tak cię piszą, z politowaniem patrzę na plac w centrum Starkowa - miejscu szczególnym dla mieszkańców nie tylko ze względów religijnych, również historycznych. Od 1945 roku stoi na nim krzyż z estetycznym płótkiem postawionym za pieniądze z funduszu sołeckiego, a zaraz obok szkaradna ławka z blaszanym, zdewastowanym zadaszaniem. Jak psioczą na ten widok mieszkańcy - nie da się powtórzyć.

Mówi się, że jesteśmy gospodarzami we własnym domu, że samorząd to my, itd. Zaraz znajdują się osoby, które powiedzą, że się czepiam. Zapytam więc, czy ci, którzy powinni zająć założenia realizowanych również w naszym województwie takich programów, jak: „Odnowa wsi”, „Ochrona wód Bałtyku przed związkami azotu i fosforu”, „Zintegrowana produkcja rolnicza” czy „Rolnictwo zrównoważone”? Teoria i praktyka - czy mnie się wydaje?

Adam Jabłoński, Przewłoka



Uzdolniony dom

Rok 2015 był najlepszy w działalności kulturalno-oświatowej i terapeutycznej Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie.

Sukcesy odniosły grupy: teatralna „Epitetem po Metaforze”, taneczno-wokalna „Singersi”, sportowa „Orły z Lubuczewa”, wędkarska „Rybołów”, a także literacka i plastyczna. Za tę niezwykłą aktywność dom otrzymał certyfikat „Miejsce Przyjazne Seniorom”. Przyznała mu je słupska Komisja Akredytacyjna Partnerstwa na Rzecz Rozwoju Seniorów. Jest jedynym domem w regionie, który ma to wyróżnienie.

Zespół teatralny „Epitetem po Metaforze” osiągnął podwójny tryumf podczas VIII Powiatowego Przeglądu Kabaretów Wszelakich „Obciach” w Kobylnicy. „Wesele pod Brodą” zajęło trzecie miejsce, a pierwsze - spektakl „Zakład Pogrzebowy - Oddzwonimy”. Sukcesem okazał się też udział grupy w IV Przeglądzie Twórczości Młodzieży „Przetwornik” w Policach. Autorski spektakl „Teatr dwóch światów” zrealizowany we współpracy z wychowankami Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce, zdobył uznanie profesjonalnego jury. Również we współpracy z wychowankami MOS w Ustce teatr ten zdobył wyróżnienie na XXII Konfrontacjach Młodzieżowych Grup Teatralnych w Słupsku. Zespół zmierzył się na nich z kilku-

nastoma młodzieżowymi grupami z całego Pomorza. Wystawione przedstawienie traktowało o relacjach osób niepełnosprawnych z trudną młodzieżą i o procesie przemiany poprzez sztukę; było to niezwykle przeżycie.

Jednak największym sukcesem grupy było zdobycie wyróżnienia podczas XIII Międzynarodowego Przeglądu Teatrów Wspaniałych w Tczewie. Zaprezentowało się na nim 36 zespołów z całej Europy. Teatr z Lubuczewa wystąpił tam ze spektaklem pt. „Artysta 2”, który opowiada o sile i nieśmiertelności ludzkiej artystycznej działalności.

Grupa brała udział też w XIV Wojewódzkim Przeglądzie Twórczości w Chmielnie oraz Przeglądzie Twórczości Artystycznej Osób Niepełnosprawnych w Słupsku, również z autorskimi spektaklami. Z kolei grupa wokalno-taneczna „Singersi” ma w swoim repertuarze perfekcyjnie zrealizowane przedstawienia muzyczne i taneczne, które robią doskonałe show. Występowała m.in. na XI Jarmarku Słonecznikowym w Gogolewku - dla lokalnej społeczności. Wzięła też udział w Konfrontacjach Artystycznych Osób Niepełnosprawnych Powiatu Słupskiego.

Pisarze i poeci z grupy „Echo Depeesu” (Cezary Wosinek, Marcin Kruk, Artur Krużycki) sięgnęli po laury w Międzynarodowym Konkursie Literackim „Taką Cię kocham, moja Polsko”. Brało w nim udział ponad tysiąc osób z całego świata! Cezary Wosinek i Stanisław Tasarz zaprezentowali swoją poezję też podczas I Konfrontacji Artystycznych Osób Niepełnosprawnych Powiatu Słupskiego.

Również grupa plastyczna uczestniczyła w wielu konkursach. Bernadeta Woźniak zdobyła drugie miejsce we wspomnianym już Międzynarodowym Konkursie „Taką Cię kocham, moja Polsko”. Dorota Kieruzal zdobyła pierwszą nagrodę, a Ernest Jachimiek trzecią w Międzynarodowym Konkursie „Moja Gwiazdka Miłości”. Artur Krużycki został laureatem trzeciej nagrody i wyróżnienia w powiatowym konkursie fotograficznym „Przyroda Powiatu w Obiektywie”.

Do tych osiągnięć można jeszcze dorzucić sukcesy grupy sportowej „Orły z Lubuczewa”. Wszystkie dowodzą, że Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie jest miejscem tworzenia kultury na wysokim poziomie, mieszającą w nim ludzie z wieloma różnymi pasjami. Jest placówką otwartą na szeroko rozumianą współpracę artystyczną oraz sportową.

Krzysztof Surowiec, Lubuczewo

Prowadziła mnie na zielone łąki

Powinno nam się żyć wygodnie w pięknym świecie. Tymczasem coraz częściej powracamy do krainy dzieciństwa. Wspomnienie o matce, koł całe zło, które zacieśnia się jak pętla na szyi ludzkości.



Moja mama Janina Grondzik, urodziła się w 1914 roku we wsi Zamoście, dużej osadzie położonej w powiecie Radomsko. Czasy były ciężkie, pierwsza wojna światowa przyniosła głód, nędzę i choroby. Pierwsze dni wojny, objawiały się zamknięciem urzędów, brakiem wszelkich wiadomości, gazet. Przez Zamoście ciągnęły długie szeregi wozów. Tak z pogranicza niemieckiego wycofywali się traktem ku Warszawie, rosyjscy urzędnicy. Po trzech dniach w tym rejonie Polski nie było żadnej władzy. Nasi dziadkowie przeżyli pod koniec wojny wielki głód. Ludzie żywili się „życiokami”, podpłomykami z grubo mielonego na żarnach zbo-

ża, ziemniakami, pokrzywą, lebiodą. W końcowym okresie wojny, Zamoście opanowała epidemia cholery. Z osłabienia i biedy, wiele przypadków kończyło się śmiercią. Zmarłych grzebano w wielkich dołach. Zwłoki przysypywano wapnem. Zasięg epidemii objął inne wioski. Ludzie do tej pory mówią, że na miejscu cmentarza straszy. Mama, wówczas jako dziecko, szczęśliwie przeżyła.

Lat międzywojnia moja ukochana mama przeżyła we względnie dobrym położeniu, a to dlatego, że mój dziadek Kazimierz Grondzik został wójtem dużej gminy Zamoście. Mama ze starszym rodzeństwem pracowała w dużym gospodarstwie rolnym.

Mieszkała w białym domu wśród pól, otoczonym sadem i malwami. Pracowała ciężko, ale jej piękne niebieskie oczy patrzyły w radosną przyszłość. W 1937 roku wyszła za mąż za Antoniego Jastrząbka, rolnika z przysiółka Madera. Z tego związku urodziłam się 27 stycznia 1938 roku. Starsi ludzie mówili, że ta noc była wieszczą. Po niebie, ze wschodu na zachód odwrotnie przesuwwały się barwne światła zorzy polarnej, piękne, różnokolorowe. Ludzie uważali, że zjawisko to wróżyło wojnę. Tak też się stało. Rodzice wybudowali nowy dom z czerwonymi ramami okien i drzwi. Sama miejscowość, w której przyszło im żyć, to żywe piękno. Przecudne lasy

i pola, ciche uroczyska sprawiły, że Zamoście wyglądało na oazę spokoju. Uroku tej ziemi dodawały przecinające ją strumyki oraz bagienne torfowiska. Moja mama emanowała tym pięknem i przekazywała mi zachwyt nad złotem pól, zielenią łąk, śpiewem ptaków. Zachwycała się każdym szarym dniem, mimo ciężkiej pracy była zawsze radosna. Uczyla mnie cieszyć się każdym dniem. Była pierwszą osobą, która mnie przytuliła, chroniąc przed złem. Przez całe życie otaczała mnie troską i miłością. Cierpiała ogromnie, gdy pewnego zimowego dnia, zapisana na wywózkę do pracy przymusowej do Niemiec, musiała się ze mną rozstać. Ciężarówka miała odwieźć zapisanych do Urzędu Gminy w Zamościu. Babcia myślała, że jeśli poda mamie dziecko, to Niemcy się ulitują i jej nie wywiozą. Tymczasem, z opowiadań wiem, że Niemiec odebrał mamie mnie, małą i rzucił w śnieg. Potem była tęsknota, nieprzespane noce. Dobrze tylko, że mamę na tzw. targu niewolników skierowali do pracy w restauracji Elsflid k. Bremy. Jej właściciele, p. Szumacherowie wierzyli, że „Hitler kiedyś kaput” i traktowali Polaków przyzwoicie. Po trzech latach mama otrzymała urlop, z którego już nie wróciła do przymusowej pracy. Siostra, a moja ciocia napisała Niemcom w liście, że... zginęła w czasie bombardowania. List był po to, by p. Szumacherowie mogli na moje miejsce dostać inną pomocnicę.

Moja ukochana mama znowu cieszyła się, że ma przy sobie swoje ukochane dziecko i słyszy dźwięki dzwonów z kościoła w Rzeźnicy. Potem dziadek, który miał znajomości z „zielonkami”, przeprowadził naszą rodzinę przez granicę dzielącą Rzeszę z Generalną Gubernią. Tam mimo że działała partyzantka, nie było takiego okrucieństwa jak w Rzeszy. Mieszkaliśmy na tzw. komornym w jednej izbie. Pamiętam stojące w małej sionce żarna, na których mielono ziarno na chleb. Był to chleb razowy, trzeszczał w zębach, ale się jadło i żyło. Mama umiała szyc, więc zarobiła jakieś jedzenie, jajka, jakąś kurę, ziemniaki. Tatuś pracował w dworze w Jedlińskiej Woli koło Radomska. Ponieważ wioska leżała wśród lasów często odwiedzali nas partyzanci. Pamiętam jak przez mgłę sytuację jak mnie zabawiali i dawali czekoladę. Otrzymywaliśmy kartki na chleb, margarynę i marmoladę w blaszanych wiaderku.

Ta marmolada bardzo mi smakowała. Starszy ode mnie kolega żartował, że jest zrobiona z..., i żebym tyle nie jadła. Pamiętam wyzwolenie, radziecki czołg, który stanął pod naszym oknem. Wydawał mi się wielki jak kamienica. Radość ludzi była ogromna. Mój tato całował lejtnanta po rękach, ze łzami w oczach niósł mu bochenek chleba. I zapamiętałam, jak śmiesznie mówił do niego: „możet kawku”...

Ciężkie życie miała moja mama. Kiedy wróciliśmy do naszego splądrowanego domu w Zamościu - nie było nic. Było bardzo zimno. My, dzieci, żeby się rozgrzać biegaliśmy po strychu. U nas leżały stopy znaczków z Hitlerem i pamiętam jak wykluwaliśmy mu oczy igłą. Całe lata mama pracowała, abym ja i moje rodzeństwo - brat oraz siostra, mogli się uczyć, nigdy nie byli głodni i chodzili ładnie ubrani. Mój stosunek do mojej mamy wyraziłam najpełniej w wierszu „List do Matki”:
Mateńko, piszę list do Ciebie / Cichutętki / Jak nasze rozmowy \ Zbieram drobinki nadziei \ Starannie buduję przystań \ Otwórz oczy nadziejo \ Na światło \ Zamknij w uścisku dobroci

grozę wojny, lęk o najbliższych, biedę, poniżenie. Jakie w całej Polsce okrucieństwo hitlerowskich zwyrodnialców było straszne? Otarła się o nie. Musiała ciężko pracować w polu, domu, ogrodzie, walczyć o przeżycie. Gdy skończyła się wojna, zaczęło się budowanie nowego. To nic, że kraj podnosił się z ruin, że komuna i stalinowskie represje Trzeba było żyć. Wrócił w serca optymizm. Moja mama była świadkiem tych wszystkich przemian.

My, dzieci swoich rodziców, dorastamy, starzejemy się i z wiekiem wspomnienie coraz bardziej żyje w nas. Matka jawi się nam w dzień i w snach, zawsze piękna, dobra i niezastąpiona. Tylko żal, że nie wrócą już tamte dni, kiedy służyła nam, radą i pomocą w trudnych chwilach. Dziś, gdy przesuwam w ciszy paciorki różańca świętego, słyszę głos mojej mamy: „idź dziecko w świat, potem witaj”. Matka uczyła mnie pracowitości, uporu w dążeniu do celu i umiłowania ojczyzny. Prowadziła mnie w niedzielę do kościoła, potem na zielone łąki, żniwne pola. Pachnia-



Fot. J. Maziejuk

\ Pochylam serce ku Tobie Mateńko.

Bardzo często po śmierci mojej mamy widzę jak idzie macierzan-kowymi ścieżkami. Jak odgarnia kłosy, zapala świece na grobach bliskich, modli się w kościele. Mimo że jestem bardzo dorosłą osobą, u końca swego życia, brakuje mi mamy. Jej ciepły uśmiech i dobre spojrzenie kochanych oczu idą za mną przez życie. Tkwi we mnie pytanie, jak przeżyła

to polnymi rumiankami, macierzanką w śródpolnych miedzach. Często wspominam jej twarz zza bukietów polnych róż, chabrow, kłosów zboża. Maksymą mojej mamy, jak również ojca Antoniego, były słowa: „pracuj i bądź uczciwa”. Takimi byli moi rodzice - pracowici i uczciwi, aż do bólu. Niech im na niebieskich łąkach pachną kwiaty z rodzinnych stron.

Emilia Zimnicka, Izbica

Na Mont Blanc i Elbrus bez drabiny

Krótko po wschodzie słońca, przy silnym wietrze i mrozie, stajemy na szczycie Mont Blanc. Wspaniały widok od razu rekompensuje trud i poświęcenie związane z wyprawą.

Jesteśmy grupą pięciu zawodowych strażaków i amatorów alpinizmu. Nazywamy się „Strażacy ze Słupska”. Grupa nasza oficjalnie zawiązała się zimą 2013 roku, chociaż plany wypraw wysokogórskich omawialiśmy już dużo wcześniej. Pierwszy nasz zrealizowany pomysł to zorganizowanie wyprawy na najwyższy szczyt Europy - Mont Blanc o wysokości 4.810 m n.p.m. Zdobyliśmy go w sierpniu 2014 roku.

Do wyprawy by nie doszło, gdyby nie udało się ustalić wspólnego urlopu. Tydzień przed wyjazdem skompletowaliśmy niezbędny ekwipunek. W efekcie każdy plecak ważył ponad 20 kilogramów! Planując wyprawę ustaliliśmy, że nie będzie żadnych skrótów. Wymarzoną górę zaatakujemy pieszo, od dołu.

Po prawie dobie spędzonej w busie dojeżdżamy do miejscowości Les Houches (990 m n.p.m.) we Francji. Tu

znajdujemy miejsce na polu biwakowym. Następnego dnia z rana ruszamy w góry. Z każdym krokiem przyzwyczajamy się do ciężkich plecaków. Po kilku godzinach marszu opuszczamy linię lasu i od tej pory powszechnym widokiem stają się już tylko szare bloki skalne. Naszym celem pierwszego dnia jest dojście do schroniska Tete Rousse (3.167 m n.p.m.) lub położonej na wysokości 2.853 m n.p.m. małej chatki pasterskiej o nazwie Forestiere. Pogor-



sza się pogoda, zapada zmrok, szybka decyzja i wybieramy plan B. Docieramy do chatki pasterskiej. Okazuje się nawet przytulnym schronieniem.

Ranek wita nas piękną pogodą. Pierwsze graniówki wymagają użycia kasków, które mogą chronić przed spadającymi kamieniami. Po kilku godzinach marszu docieramy do schroniska Tete Rousse. Od tego miejsca, praktycznie do samego szczytu, towarzyszą nam śnieżne pola lodowców, poprzecinane złowrogimi szczelinami. Rozbijamy namioty, posilamy się specjalną liofizowaną żywnością. Odpoczywamy. Następnego dnia ruszamy w kierunku położonego wyżej schroniska Refuge du Gouter (3.835 m n.p.m.). To najtrudniejszy technicznie odcinek drogi na Mont Blanc - 600 metrów przewyższenia na grani o nachyleniu 45 stopni (z niesamowitym kuluarem o dźwięcznej nazwie Rolling Stones), krótkie odcinki do wspinania w pionie. Jak się później okaże, tę drogę przyjdzie nam pokonywać trzykrotnie! Po porannej toalecie i kolejnej porcji liofizatów chcemy ruszać dalej, ale okazuje się, że Łukasz Trocki źle się czuje. Krótka narada i zapada decyzja: Łukasz zostaje! My idziemy, w czwórkę. Po pokonaniu niebezpiecznej grani docieramy do schroniska Refuge du Gouter. Wieczorem, niespodziewanie dołącza do nas Łukasz! Gdy następnego dnia przychodzi pora ataku szczytowego, góra pokazuje do kogo należy ostatnie słowo. Na wysokości 4.000 m n.p.m. - huragan! Musimy wracać do schroniska. Ewakuacja ta przypomina trochę ucieczkę szczurów z tonącego okrętu. O świcie docierają do nas jednak smutne informacje o pierwszych ofiarach Blanca...

Po zejściu do schroniska okazuje się, że Łukasz znowu czuje się nie najlepiej. Rezygnujemy. Wyżej nie idziemy! Na tym kończymy wspinaczkę. Zdrowie przyjaciela jest ważniejsze od zdobycia góry! Mija trochę czasu i nagle zmiana decyzji. Mariusz Rybak zejdzie z Łukaszem w dół, a my, to znaczy Jędrzej Banasik, Piotr Pytlos i ja będziemy atakować szczyt! Prognozy pogody są dobre, gwarantują dwa dni tzw. okna pogodowego. Następna okazja szybko może się nie powtórzyć.

Ruszamy! Ponownie idziemy osławionym kuluarem. Przed zmrokiem docieramy na wysokość 3.835 m n.p.m. Postanawiamy, że ra-

no z tego miejsca zaatakujemy! Ranek przychodzi szybko. O 1.30 pakowanie plecaków. Ciepły ubiór i... atakujemy. Po trzech godzinach pokonywania śnieżnych zboczy docieramy na szczyt Dome du Gouter (4.306 m n.p.m.). Dopiero z tego miejsca przy dobrej pogodzie można dostrzec Mont Blanc. Krótki odpoczynek i idziemy dalej. Mijamy awaryjny schron Vallot (4.362 m n.p.m.) i krótko po wschodzie słońca, przy sil-

załatwić ubezpieczenie, zdobyć plany przejazdów, wizy.

W czasie przygotowań, 7 stycznia ub. roku w podśląpskiej miejscowości wybucha pożar, który trawi doszczętnie mieszkania trzech rodzin. Postanawiamy wesprzeć pogorzelców. Pieszko pokonujemy trasę z Ustki na Hel i zbieramy pieniądze na odbudowę spalonego domu. Wyruszamy 9, a kończymy nasz marsz 13 lutego. Z pełnym sukcesem!



Fot. Archiwum Autora

nym wietrze i mrozie, docieramy na Mont Blanc. Wspaniały widok od razu rekompensuje cały trud wyprawy!

Droga powrotna dłużyla się niesamowicie. Pamiętamy jednak, że najczęściej wypadków zdarza się podczas powrotu. Dopiero późnym popołudniem docieramy do pozostawionych namiotów i dajemy upust swojej radości.

Po tym sukcesie szukamy nowego wyzwania. Wybór pada na najwyższy szczyt Kaukazu - Elbrus o wysokości 5.642 m n.p.m. Właściwie to wygasły wulkan o dwóch szczytach, górujący nad pozostałymi szczytami pasma Kaukazu. Nowe mozolne przygotowania. Musimy uzupełnić braki w sprzęcie, postarać się o bilety lotnicze,

Kolejną naszą górską wyprawę rozpoczynamy 27 sierpnia, w Słupsku. Wcześniej, bo o czwartej rano. Po sześciu godzinach jazdy docieramy do Warszawy. Stąd o 16.05 lecimy samolotem do Tbilisi. W stolicy Gruzji lądujemy po północy i ruszamy autostopem w stronę przejścia granicznego. Trasa jest malownicza, ale droga kiepska. Na granicy meldujemy się około ósmej rano. Przejście graniczne, jak cały teren przygraniczny, przypomina o wciąż niestabilnej sytuacji w tym regionie. Usiany jest stanowiskami wojskowymi. Po przekroczeniu granicy naszym przestankiem jest największe miasto regionu - Władykaukaz. O godzinie 17.00 docieramy do Tegenekli, oddalonej już tylko

o 15 km od celu naszej wyprawy. W sumie mamy za sobą 36 godzin podróży i pierwszy odpoczynek. W niedzielę rano wychodzimy w góry. Na razie tylko na próbę.

Poniedziałek poświęcamy na załatwienie formalności związanych z koniecznym meldunkiem. Po ogarnięciu spraw urzędowych ruszamy stopem pod górę. Mijamy co chwilę miejscowe krowy, które mają pierwszeństwo przed samochodami. Wioska Azau z bazą wypadową leży na wysokości 2.400 m n.p.m. Pod wieczór docieramy do górnej stacji kolejki Mir (3.500 m n.p.m.) i tu nocujemy. We wtorek ruszamy na górę, do „Beczek” - schroniska znajdującego się na wysokości 3.750 m n.p.m. Owe „Beczki” to w rzeczywistości pozostałości po zbiornikach na pali-

wo raketowe, które sprytni Rosjanie „przekształcili” w „hoteliki”. Tu wykupujemy nocleg za 500 rubli od osoby i nie ma potrzeby rozbijać namiotów. Po odpoczynku ruszamy przy przepięknej pogodzie do schroniska Prijut - na wysokości 4.100 m n.p.m. Każde kolejne nasze wyjście w góry ma charakter aklimatyzacyjny. Musimy przyzwyczaić nasze organizmy do funkcjonowania w warunkach zmniejszonej ilości powietrza. Po tej aklimatyzacji, po sprawdzeniu jeszcze warunków pogodowych, zapada decyzja o ataku na szczyt.

O 1.30 budziki w telefonach oznajmniają pobudkę. Okazuje się, że Łukasz Trocki znowu źle się czuje. Pulsoksymetr pokazuje saturację poniżej 60 proc., a prawidłowa wynosi powyżej 95 proc. Decyzja: musi zno-

wu zostać na dole! Pozostali - idą! Po 2.00 wyruszmy atakować szczyt. Nad ranem, kiedy jesteśmy już dwieście metrów przed szczytem, tym razem ja źle się czuję i koledzy muszą podjąć niełatwą decyzję o sprowadzeniu mnie w dół. Razem ze mną zawraca też Mariusz Rybak. O 8.30 na Elbrusa (5.642 m n.p.m.) zmęczeni docierają tylko Jędrzej Banasik i Piotr Pytlos. Są szczęśliwi!

Następnego dnia, po śniadaniu, ruszamy marszrutką (rodzaj komunikacji miejskiej i pozamiejskiej w Rosji) do Władykaukazu. Pierwsze kroki kierujemy do straży pożarnej. Pozytywne wrażenie robi na nas budynek remizy. Jest pomalowany w narodowe barwy. Strażacy przyjmują nas ciepło, pokazują sprzęt, goszczą kolacją i noclegiem w remizie. Przez dwa kolejne dni jesteśmy gośćmi strażaka Kazika, który pokazuje nam piękną okolicę Osetii Północnej. W rewanżu zapraszamy strażaków z Władykaukazu, do Słupska.

Z Władykaukazu udajemy się marszrutką do Gruzji. Tutaj, w miejscowości Stepancminda zatrzymujemy się w gospodarstwie agroturystycznym, z którego rozpościera się piękny widok na szczyt Kazbeg (5.033 m n.p.m.). Po uzyskaniu informacji od polskich turystów (jest ich tu sporo), udajemy się jeszcze do klasztoru Cmindia Sameba, położonego na wysokości 2.170 m n.p.m. Następnego dnia wyruszamy do Tbilisi. W oczekiwaniu na samolot, odwiedzamy także tutejszych strażaków. Wybieramy się też na przejażdżkę piętrowym autobusem po stolicy Gruzji. Nasza druga przygoda dobiega końca 10 września. Tego dnia meldujemy się cali, zdrowi i szczęśliwi na lotnisku imienia Chopina w Warszawie.

Łukasz Kołodziejcki, Słupsk

PS. Do naszych wypraw nigdy by nie doszło, gdyby nie pomoc naszych rodzin, przyjaciół i sponsorów. Szczególne podziękowania kierujemy do firmy Nord Glass, która pomogła nam zaopatrzyć się w sprzęt wysokogórski, a także do firm: Worthington Industries, Łosoś, Technik, Śrubex, 4F, Eleclerc - pomogły nam w inny sposób. Dziękujemy też za pomoc gminom: Kobylnica, Słupsk, Postomino, Miastu Słupsk i Starostwu Powiatowemu w Słupsku. Szczególne podziękowania kierujemy do Pomorskiego Komendanta Wojewódzkiego PSP w Gdańsku oraz Komendanta Miejskiego PSP w Słupsku. (Ł.K.)



Fot. Archiwum Autora

Spółecznik uduchowiony

- Skąd moje spółecznikowskie zacięcie? - zastanawia się przez chwilę ksiądz Jan Gariatowicz. Kilka sekund później wyrzuca z siebie jednym tchem: - Wpoła je we mnie matka, która wszystkim wokół pomagała.



Pisałem o nim dość obszernie w wydanej przed 10 laty książce pt. „Żywa legenda regionu nad Słupią”. Pozwolę sobie przywołać zaczerpnięte stamtąd CV bohatera mojej dzisiejszej publikacji: Jego nota biograficzna jest, jak u prawie wszystkich duchownych, krótka i sucha. Kresowiak związany z ziemią słupską (aż po rozlewiska Brdy w Człuchowskim, ściślej w rejonie gminy Przechlewo) od młodych lat. Kapłan w zaawansowanym średnim, no może trochę starszym niż ten średni (ok. 65) wieku, po warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej i Wyższym Seminarium Duchownym imienia św. Wincentego á Paulo w Paradyżu (1968). Drogi duszpasterskiej służby: najpierw roczne lub dwudziestoparomiesięczne wikariaty w sześciu miastach i wsiach w Gorzowskim, Zielonogórskim, Koszalińskim. Od roku 1978 - ciąg dalszy wikariatów, tyle że już w grodzie nad Słupią. Konkretnie w słupskiej dekanalnej parafii Mariackiej. Potem

(1981), gdy utworzona została przyzamiłkowa parafia pod wezwaniem św. Jacka Odrowąża, jej wikariusz i proboszcz w jednej osobie. Te drugie obowiązki pełni, jako proboszcz z pomocą księżej młodzieży, do dziś.

Urodzony spółecznik. Dowody? Pierwszy z brzegu: W 1993 roku został laureatem prestiżowej, i to pierwszej, nagrody Civitas Christiana (dawn. PAX) imienia ks. dr. Bolesława Domańskiego, wielkiego patrioty ze Złotowszczyzny z czasów międzywojnia, prezesa Związku Polaków w Niemczech aż do męczeńskiej śmierci z rąk siepaczy hitlerowskich w początkach Drang nach Osten'39 z baz wypadowych w Krajinie oraz na Pograniczu i Kaszubach.

- Skąd moje spółecznikowskie zacięcie? - zastanawia się przez chwilę ksiądz Jan Gariatowicz (o nim mowa). Kilka sekund później wyrzuca z siebie jednym tchem: - Wpoła je we mnie matka, która - jak pamięcią sięgnę - wszystkim wokół pomagała. Nie bez

znaczenia wydają mi się też służebne, wręcz misyjne spektra wyniesione od patrona oo. franciszkanów.

Oto przykłady owych inicjatyw w zwięzłym, reporterskim zapisie.

„Pilotaż” i żarliwą pasją przepojona animacja Franciszkańskiego Ruchu Ekologicznego, który skupia setki - tak, tak, grube setki - słupszczan czuwających, żeby nie wyrządzać krzywdy przyrodzie, zwłaszcza zwierzętom.

Liczący już bez mała czternaście lat (częstochowski - dopiero dwanaście!) międzyszkolny konkurs recytatorski pn. Sacrum w literaturze polskiej, od września'96 - również w kategorii szkół ponadpodstawowych, o zasięgu nie tylko lokalnym, lecz szerszym - środkowopomorskim, regionalnym. Ad vocem: także współorganizowany z Polonusami z Litwy i Białorusi konkurs recytacji poezji i prozy kresowej (sentyment do „korzeni”?).

Coroczne, wspaniałe biesiady muzyczne w związku z Festiwałem Piani-

styki Polskiej oraz Letnimi Koncertami Muzyki Organowej i Kameralnej na świeżo odnowionym, wielowiekowym, znamienitym instrumencie i chórze.

Stała galeria amatorskiej (dziecięco-młodzieżowej) twórczości plastycznej i fotograficznej o tematyce religijnej, lecz również obyczajowej, dokumentalnej, słowem świeckiej w... kruchcie kościelnej (organizacja pokazów w tzw. ramach własnych; powiem wprost, bo nieraz oglądałem na własne oczy: w wykonaniu, i to w pojedynkę, księdza Jana).

Mające długie tradycje spotkania modlitewne, notabene z niezadkim udziałem konsułów ościennych

proc. ogółu mieszkańców gminy) w Wykosowie koło Głównicy.

Druk (w słupskim Grawipolu, rzecz jasna, od zawsze) i kolportaż rozmaitych publikacji dla Polonii za Bugiem.

Obecność przy każdej okazji - z tytułu kapelaństwa i... bez powodu - wśród wszelkich mundurowych (żołnierzy, strażaków, policjantów, członków ZHP). Zrekapitułuje rzecz tytułowy społecznik uduchowiony: - Ot, stary sentyment do munduru, który koniec końców przybrał kształt... sutanny. To jeszcze chyba (wtręt autora): Próżno by gdzie indziej szukać tyłu bliskich mi duchowo ludzi.

chodzi mi w związku z tym do głowy świętokradcza (jeśli tak, biję się w grzeszne piersi) myśl: gdyby bodaj co trzeci z pomienionych sług Bożych w jednej trzeciej dorównał bohaterowi publikacji, o ile mniej goryczy - z tzw. kuroniowcami, fanami Owsiaaka lub bez - spływałoby przez ten ziemski padół!..

* * *

Wybacz, Janku, te może niezbyt przyjemne dla Ciebie refleksje. Homo sum, humani nihil a me alienum...

Och, zapomniałbym dodać na użytek Czytelników: Mój rozmówca jest - wreszcie! - prałatem z woli Tego, któremu 23 sierpnia 2003 odsłaniał ra-



państw bałtyckich, wspólna z grekokatolikami - pod wezwaniem św. Jaka - msza, procesja i ceremonia ph. Jordan (symboliczny chrzest Chrystusa... nad brzegiem Słupi), ekumeniczne sympozja i zapoznawcze wieczory z przedstawicielami innych wyznań chrześcijańskich - w szczególności obrządku wschodniego.

Opieka nad domem sióstr klarysek (zakonnice w absolutnej klauzurze, spędzających życie na wykonywaniu szat liturgicznych i np. sztandarów).

Wspieranie pierwszej i jedynej, jak dotąd, ochronki wiejskiej (dla cierpiącej dotkliwą nędzę popegerowskiej biedoty, która stanowi 30

* * *

Ze swoich niezliczonych rekonesansów po województwie zapamiętałem tylko jednego księdza, który mógłby „konkurować” u nas o tytuł Człowieka Roku (1996, wyróżnienie Tygodnika Słupskiego/Koszalińskiego) z bohaterem niniejszej publikacji. Jawił się nim młody wówczas (40), zmarły już niestety (w diecezji szczecińsko-kamieńskiej) głowczycki proboszcz - salezjanin Janusz Głuchowski. Przypadek? Hm...

Istnieje podobno w Słupskim aż 99 parafii z kilkusetosobową w sumie obsadą duchownych. Czasem przy-

zem z innymi pomnik w „papieskim” zakolu Brdy nieopodal serdecznie bliskiej sercu wsi - Przechlewa.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

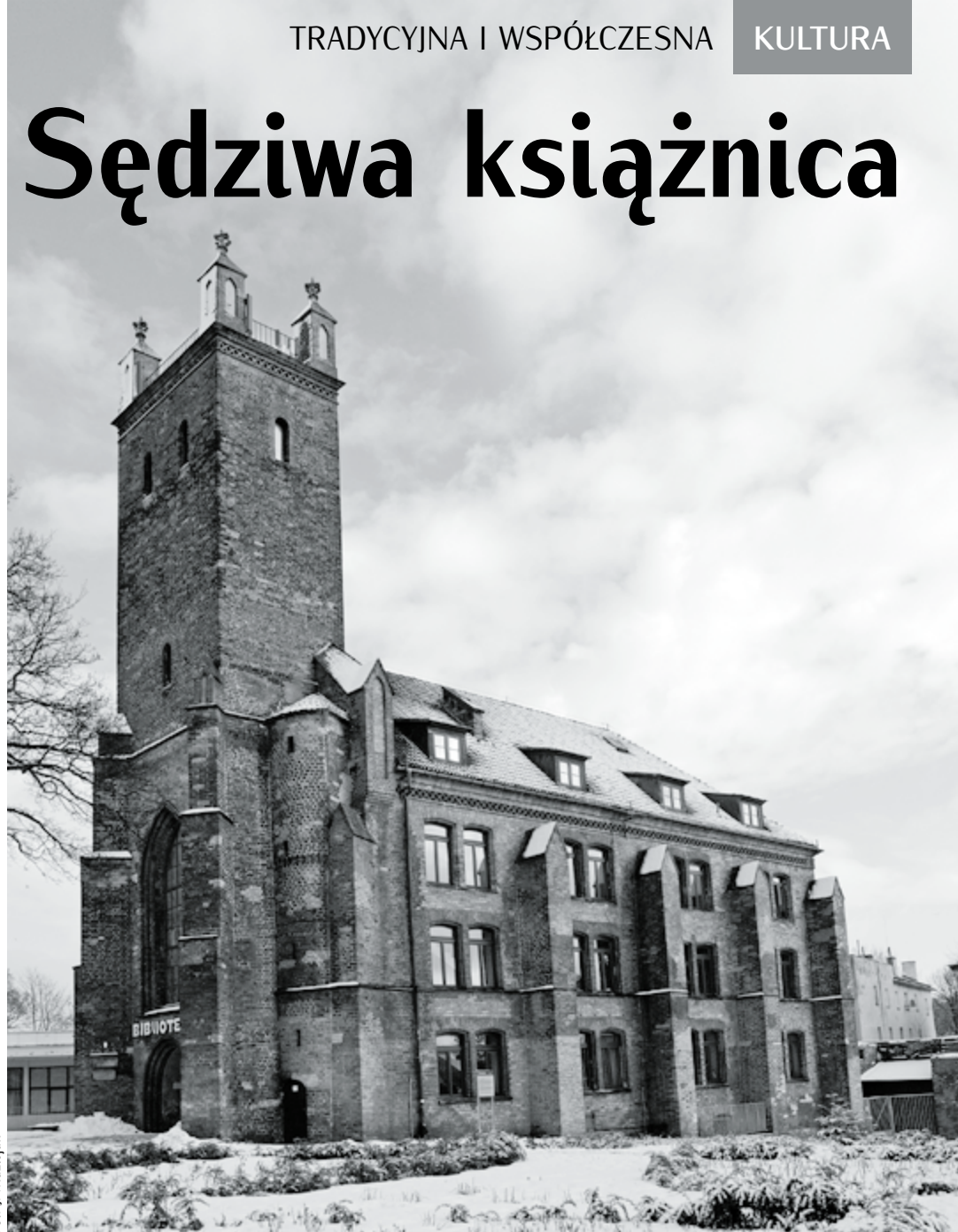
PS. Co skłoniło mnie do przywołania tych książkowych zapisków? Wieść, że tak miłowany i ceniony przez wszystkich ziomków Prałat przeszedł już (wiek 75 „z okładem”) w kapłański „stan spoczynku”. Niepowetowana szkoda. Będzie Go wśród nas bardzo brakowało. Jedyne pocieszenie jest... drzemiąca w Nim (zob. wybrane pasusy książki) niespożyta doprawdy wiatalność. Ani chybi, „ciąg dalszy nastąpi” mimo wszystko - że sparafrazuję znane logo Anny Dymnej. (JRL)

Sędziwa księżnica

Podczas gali jubileuszowej Miejska Biblioteka Publiczna została uhonorowana Medalem Senatu RP, który przekazał senator Kazimierz Kleina. Należy przy tym zaznaczyć, że przyznawany jest on osobom, organizacjom bądź instytucjom, które w sposób szczególny poświęcają się dla dobra wspólnego. Goście jubileuszowi byli niezwykle szczerzy, na półki biblioteki trafiły cenne egzemplarze książek, ikonografii i dokumentów życia społecznego. Filie biblioteczne wzbogaciły się o materiały do pracy z dziećmi. Oryginalny prezent podarowała bibliotece Jolanta Nitkowska-Węglarz. Słupska pisarka napisała baśń „O skrzatach i tajemnicy czterech wieżyczek”, wzbogacając baśniową opowieść poezją Marka Szarbowskiego. Dzięki temu powstała mieszanka prozy i poezji w baśniowym wydaniu. Ilustracje do książki tworzy Ewa Grużewska.

Odbyło się seminarium pod hasłem „Komunikacja. Informacja. Dialog”. Zostało zorganizowane wspólnie z Biblioteką Uniwersytecką we Wrocławiu, która obchodziła zbieżny jubileusz - siedemdziesiąt lat nauki polskiej we Wrocławiu. Dyrektor Grażyna Piotrowicz przekazała słupskiej księżnicy sto pięćdziesiąt tytułów nowości wydawniczych, w tym książek dla dzieci i młodzieży. Tematyką seminarium zainteresowała się m.in. młodzież licealna oraz studenci Akademii Pomorskiej w Słupsku. Wystąpienia dotyczyły nowej roli bibliotek publicznych oraz znaczenia książek w życiu człowieka. Prelegenci skupili szczególną uwagę na wykorzystaniu nowych rozwiązań technologicznych w bibliotekach, ponadto podkreślali znaczenie dyskursu społecznego w kontekście rozwoju bibliotek.

Z okazji jubileuszu ukazała się publikacja pt. „Wizje i dzieła. Zasoby Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku”. W książce zamieszczono artykuły oraz bibliografię. Autorzy tekstów skupili uwagę na najważniejszych procesach związanych z hybrydyzacją współczesnych bibliotek publicznych, określili wizje ich rozwoju, wskazując na twórców i ich dzieła. Zwracają uwagę na zmieniającą się funkcję bibliotek oraz formy współpracy bibliotekarza z czytelnikiem. Podkreślają znaczenie biblioteki jako miejsca spotkań różnych grup społecznych, miejsca przyjaznego i otwartego dla wszystkich. Autorzy wskazali na fakt



Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku doczekała siedemdziesięciu lat powojennego istnienia. Nie ztraca tradycyjnej funkcji, ale coraz bardziej zmierza w kierunku nowych mediów, tworząc cyfrową przestrzeń informacyjną.

koegzystencji bibliotek cyfrowych i tradycyjnych. Krzysztof Skrzypiec z Archiwum Państwowego w Koszalinie w swoim artykule przypomina czytelnikom, że biblioteka publiczna funkcjonowała również w przedwojennym Słupsku. Miejska Biblioteka Powszechna (Die Städtische Volksbücherei in Stolp) została powołana 30 września 1903 roku, zatem korzenie bibliotekarstwa słupskiego sięgają znacznie głębiej. Warto sięgnąć po tę publikację, tym bardziej, że nie tylko treść, ale również je opracowanie graficzne zasługuje na uwagę. Jest dziełem Marty Zarzyckiej-Kawałko.

Trochę historii

Zorganizowana w 1945 roku polska biblioteka w Słupsku przejęła część księgozbioru po bibliotece niemieckiej. Pierwsze sprawozdanie z działalności Biblioteki Miejskiej za okres od 2 lipca do 26 października 1945 roku dla Urzędu Pełnomocnictwa Rządu na obwód Słupsk sporządził kierownik Zbigniew Ogonowski. W dokumencie tym, jako data pierwszego po wojnie otwarcia instytucji dla czytelników, widnieje dzień 15 września. Samo przejście biblioteki od kierownictwa niemieckiego nastąpiło dwa miesiące wcześniej. W bibliotece za-

chowal się katalog niemiecki i dzięki szczegółowej analizie porównawczej możliwe było ustalenie stanu księgozbioru. W zbiorach odnaleziono m.in. „Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego” Stefana Ramuła z 1893 roku, wydany przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Hitlerowskie książki oraz bibułę propagandową skupiono w tzw. „Giftkammer” (pokoju trucizn). Zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Oświaty z 29 maja 1945 roku Nr V5 - 6535/45 bibliotekarze polscy zobowiązani zostali do katalogowania książek zabytkowych, wydanych przed 1800 rokiem. Bez wątplenia wyodrębnione kolekcje stanowiły dużą wartość dla kultury pomorskiej, niemniej znaczna ich część została zniszczona lub rozproszona. Do 26 października 1945 roku do biblioteki zapisało się 106 osób. W 1946, obok biblioteki miejskiej, funkcjonowała również biblioteka powiatowa, 25 bibliotek przyza-

prace adaptacyjne budynku po byłym kościele p.w. św. Mikołaja przy ulicy Grodzkiej 3, w którym biblioteka funkcjonuje do dziś. Uroczyste otwarcie nowego gmachu nastąpiło 10 września 1971 roku, zaś następnego dnia odbyła się uroczysta sesja, w trakcie której nadano bibliotece imię Marii Dąbrowskiej. W miejscu nieistniejącego Klasztoru Norbertanek, który przylegał bezpośrednio do kościoła św. Mikołaja, otwarto Oddział dla Dzieci i Młodzieży. W wyniku reformy administracyjnej kraju biblioteka straciła status biblioteki wojewódzkiej i po przejściu przez samorząd miejski w 1999 r. stała się Miejską Biblioteką Publiczną.

Komputeryzacja

Komputeryzacja MBP w Słupsku rozpoczęła się już w pierwszej połowie lat 90. XX wieku, a wraz z nią trudny proces związany z tworzeniem sieci informatycznej biblioteki. W Wypo-

obszaru geograficznego. W 2008 roku nastąpiło oficjalne otwarcie Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej (BBC), któremu towarzyszyła konferencja dotycząca rozwoju bibliotek cyfrowych w Polsce. Podpisano wówczas pierwsze „Porozumienia o współtworzeniu Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej”. Przybrała ona charakterystyczny model dostosowany do współpracy z każdym podmiotem zainteresowanym digitalizacją, bez względu na jego poziom doświadczenia informatycznego. Niewątpliwie dynamiczny rozwój klastra BBC umożliwiał wzrost ilości zasobów, zachowania jakości opisów metadanych, scalania na wspólnej platformie cyfrowej informacji regionalnych, rozbudowę środowiska systemowego i macierzowego, obsługującego technologie o kluczowym znaczeniu dla biblioteki.

Dzisiaj słupska księżnica działa w środowisku tekstowym i elektronicznym jednocześnie, w którym informacja tradycyjna i metainformacja zmierzają w kierunku mediów cyfrowych. Zastosowanie nowoczesnej technologii nie odbiera bibliotece tradycyjnych podstaw istnienia fizycznej biblioteki. Przeciwnie, tradycje wprowadza w świat wirtualny, tworząc kolejną usługę - cyfrową przestrzeń informacyjną. Oczekiwania współczesnego odbiorcy się zmieniają. W świadomości dzisiejszych dwudziesto czy trzydziestolatków świat nie mógłby istnieć bez Internetu. Jego użytkownicy są również odbiorcami zasobów bibliotecznych, archiwalnych i muzealnych. Biblioteka nie może lekceważyć ich oczekiwań. Mimo powszechnej opinii o spadku czytelnictwa w Polsce, od dwóch lat czytelnictwo w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku utrzymuje się na bardzo wysokim poziomie. Słupska biblioteka łamie stereotyp nieczytającego Polaka, mimo skromnych funduszy, stara się na bieżąco uzupełniać księgozbiór, prowadząc przy tym aktywną animację czytelnictwa, angażując już najmłodszych czytelników w działania kulturalne.

Danuta Sroka

**Dyrektor Miejskiej Biblioteki
Publicznej im. Marii Dąbrowskiej
w Słupsku**

Od 2002 roku Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku, na podstawie samorządowego porozumienia, pełni również zadania biblioteki powiatowej.(z)



kładowych oraz biblioteki prywatne. W 2004 roku wydano publikację jubileuszową, w której m.in. Elżbieta Wisławska opisuje powojenne losy słupskiej biblioteki, która rozpoczęła działalność w kamienicy przy ulicy Sienkiewicza 18. W tym czasie księgozbiór w języku polskim liczył ok. 500 książek. W 1949 r. uruchomiono pierwszą filię przy dzisiejszej Alei 3 Maja, zaś w marcu 1950 bibliotekę główną przeniesiono do Ratusza, gdzie funkcjonowała aż do 1970 roku. W tym samym roku zakończono

życzałni Centralnej skomputeryzowano system wypożyczania książek, tradycyjne karty czytelnicze zostały zastąpione zakodowanymi identyfikatorami. Od lutego 2002 r. zaczęła działać strona internetowa MBP. W 2006 w obszarze działań Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku pojawił się concept digitalizacji regionalnego dziedzictwa kulturowego, a wraz z nim możliwość współpracy z innymi instytucjami, które posiadały w swoich zasobach dokumenty dotyczące Pomorza oraz dzieła twórców z tego

O tym, jak historia zostawia czytelne ślady

Stare książki? Nawet z białymi plamami mają wartość dokumentu, bo nauczyliśmy się odczytywać to, o czym pisać nie było wolno.

Marię Szypowską znalazłam przede wszystkim jako autorkę cenionej do dziś, wydanej po raz pierwszy w roku 1963, biografii pod tytułem „Konopnicka jakiej nie znamy”. Mam w domowych zbiorach egzemplarz trzeciego wydania z roku 69. z dwiema notami autorki, tą do wydania pierwszego, w której cytowała Konopnicką: „Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka, co by mi w oczy powtórzył to słowo tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka...” Nie jako ozdobnik literacki przytoczyłam te zdania Konopnickiej na pierwszej stronie książki. Chciałam, aby towarzyszyły one czytelnikowi, tak jak mnie brzmiały nieustanną przestrogą...

Notę do drugiego wydania rozpoczęłam cytatem z listu Elizy Orzeszkowej do Marii Konopnickiej, podzielać respekt obydwu przed czytelnikiem i ich uczucia „trwogę i nadzieję tych, którzy stają przed sądem tego tysiącgłowego sędziego, który się publicznością nazywa.”

Wydań książki było kilkanaście. Ostatnie w 2014 roku. Ich liczba potwierdza czytelniczą wartość książki, ale współcześni domagają się wątków sensacyjnych, współczesnego języka i nowej, niemal dziennikarskiej frazy. Zapominają, że Szypowska podjęła temat ponad pół wieku temu, czyniąc wyłom w spiżowym wizerunku autorki Roty, poetki ludu. Dyskusja trwa, dla jednych twórczość Konopnickiej jest przykładem grafomanii, innych interesuje tylko jej związek z Marią Dulębianką.

Książka Marii Szypowskiej, mimo że dopracowana merytorycznie, może uchodzić za mało efektowną i zbyt taktowną w sprawach osobistych. Natomiast moje zainteresowanie twórczością Marii Szypowskiej, którą znałam właściwie z „Konopnickiej” ma prawdziwie prowincjonalną genezę. W II tomie Kroniki Objazdy

Romana Zuba znalazłam wpis Marii Szypowskiej datowany na 27 sierpnia 1967 roku: „Na pamiątkę spotkania w Bibliotece w Objeździe - wpisuję się słowami z mojej książki „Wiadro pełne nieba” - z życzeniami by zawsze trwała najgłębsza przyjaźń między czytelnikami tutejszymi i książką... „ludzie potrzebują takich książek, żeby się od nich mogli robić lepsi, żeby jeden drugiemu pomógł. Tak na co dzień. I jeszcze wtedy, kiedy jest najgorzej. Bo jak człowiek w drugiego człowieka wierzenie stracił, to już nic, nic... 27 VIII 1967 Maria Szypowska.”

Nie znalazłam książki. Znalazłam ją w antykwariacie na Wilczej w Warszawie. Zachętą do kupna była informacja, że egzemplarz jest opatrzony dedykacją autorki dla Henryka Berezy i przystępna cena. „Wiadro pełne nieba” dostałam po kilku dniach z dodatkową niespodzianką. Wewnątrz był liścik autorki do redaktora „Twórczości”, Henryka Berezy, wybitnego krytyka literackiego, który w miesięczniku pracował ponad pięćdziesiąt lat, do 2005 roku. W latach 1977 - 2005 prowadził autorską rubrykę „Czytane w maszynopisie”. Nie wiem, czy Henryk Bereza odpowiedział Szypowskiej, która wierszem pisała: „Gardzisz, Henryku - rzecz dosyć znana - literaturą poniżej Manna; / Więc mnie kompleksa żrą nieustannie / Że jestem tylko Manią, nie Mannem. / Lecz - kumotersko! - wspomnij Henryku / żeś niemowlęciem znał mnie w beciku / Zamieść wiadro z niebem w swej znakomitej / „Sztuce czytania” / Choćby petitem!!!

M. Szypowska zaczynała właśnie raczkować, kiedy Henryk Bereza stał już u progu kariery znakomitego krytyka. Jego „Sztuka czytania” została wydana w 1966 roku, podobnie jak „Wiadro pełne nieba”. Niestety, powieść Szypowskiej nie zainteresowała Berezy. Jej nazwiska nie ma wśród trzydziestu prozaików, których



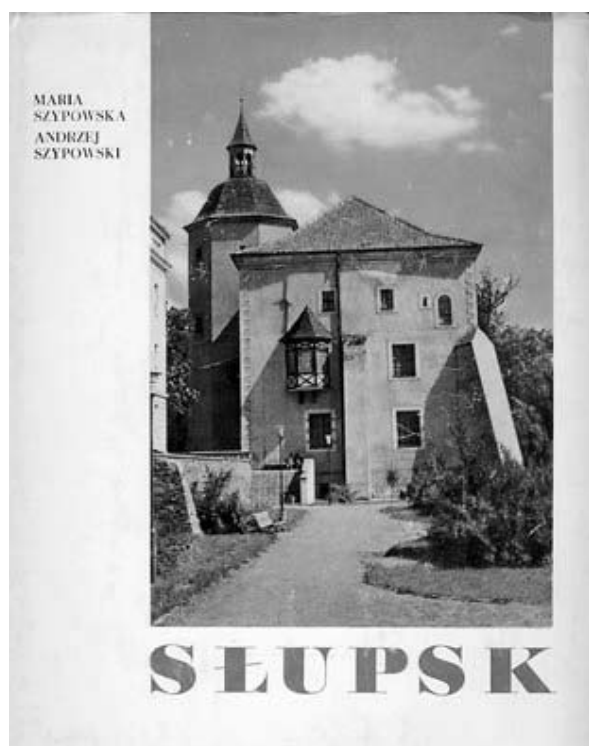
utwory krytyk analizuje. Natomiast na zakładce obwoluty znajduje się fotografia Henryka Berezy autorstwa Andrzeja Szypowskiego.

Wizyta w wiejskiej bibliotece w Objeździe promująca „Wiadro pełne nieba”, wnosząc z kolejnych penetracji Marii Szypowskiej w Słupskiem, zaowocowała albumem „Słupsk” z jej tekstem i fotografiami Andrzeja Szypowskiego. Próbowalam kupić tę pozycję w antykwariacie Akces w Rzeszowie, bez powodzenia. O kłopotcie napisałam na blogu i znów niespodzianka! Autorka bloga Opętanie, czyli zgubne skutki masażu stóp, autorka powieści pod tym samym tytułem, Helena Rotwand, tylko sobie

wiadomym sposobem album zdobyła i przesyłką priorytetową przesłała do Objazdy.

Niezwyczajną są historie starych, nikomu niepotrzebnych książek. Podobne losom ludzi, którzy dożywają swych dni opuszczeni i zapomniani, naznaczeni pieczęcią minionego czasu.

Album Szypowskich Słupsk, Wydawnictwo: Sport i Turystyka, 1971, format książki: 245 x 200 mm., stron: 95, ISBN: BRAK, okładka: twarda, ukazał się jako dziewiąty w serii, po takich jak: Brzeg, Gniezno, Góra św. Anny, Jelenia Góra, Legnica, Nysa, Opole i Paczków i nie zamykał serii. Później ukazały się Bystrzyca Kłodzka, Wawel, Woliński Park Narodowy,



Gdańsk, Zamek Królewski w Warszawie. Imponujący dorobek wymagał mecenatu. Na odwrocie karty tytułowej znajduje wyjaśnienie: „Książka zalecona do bibliotek szkolnych. Pismo Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nr PR4-5521 SiT-6/69 z dn. 23.XII 1969 r.” Z tego zapewne powodu album Słupsk dołączył do wcześniejszego albumu Brzeg w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Brzegu, następnie został wycofany z inwentarza z przeznaczeniem do sprzedaży, co dokumentują odpowiednie pieczęcie i sygnatury.

Tekst Marii Szypowskiej opowiada historię Słupska, od założenia i formowania się miasta: „aby osada się powiększyła i przybrała postać mia-

sta”, herbem miasta stał się gryf nad trzema falami rzeczными. Wacław IV zatwierdził akt lokacyjny i rozszerzył nowymi przywilejami”. Autorka rozbudowała wątek Każka (syna córki Kazimierza Wielkiego, Elżbiety i Bogusława V), zatem wnuka, którego Kazimierz Wielki adoptował w 1368 roku z myślą o nim jako następcy na tronie. Pisz: „w owym okresie Polska odzyskała zabrane przez Krzyżaków i Marchię tereny stanowiące bezpośrednią granicę z księstwem słupskim, co mogło ułatwić przeprowadzenie unii personalnej polsko-pomorskiej. Siostrę Każka słupskiego, Elżbietę, również wychowywaną na krakowskim dworze, wydał Kazimierz Wielki za Karola IV, króla czeskiego i cesarza niemieckiego. Właśnie w czasie tych zaślubin słupskiej księżniczki w 1363 r. odbyło się w Krakowie huczne wesele z udziałem pięciu królów, a potem wiele uroczystości, wśród nich jedna znana dobrze z literatury i malarstwa jako „uczta u Wierzyńki”.

Plany Kazimierza Wielkiego pokrzyżowała przedwczesna śmierć króla, a adoptowany syn Każko okazał się rozrutny i bez charakteru, co doprowadziło do unieważnienia testamentu Kazimierza Wielkiego w części Każka jako jego następcy.

Maria Szypowska posługuje się baśniową narracją pisząc tę część historii Słupska, zapewne po to, by trafić do młodego czytelnika. Nie da się natomiast racjonalnie wytłumaczyć sposobu przedstawiania historii najnowszej. Autorka odnotowuje w kilku zdaniach organizowanie się powojennego miasta. Zniszczenia wojenne, przeludnienie „wygłodniałymi i wynędzniałymi dziesiątkami tysięcy uchodźców z Prus Wschodnich, skierowanymi tu wśród najcięższych mrozów” i napływ potężnej fali osadników: „zwłaszcza wielu przybyło z Warszawy i jej okolic”. I ani słowa o przyczynie i pamięci, którą właśnie tu, do Słupska, warszawscy wygnańcy przywieźli.

Dlatego warto przypomnieć ten fragment historii miasta opowiedzianej przez Jana Maziejuka w „Kreodaju (słupskim)”*: „Pomnik Powstańców Warszawskich odsłonięto w Słupsku 15 września 1945 r. z inicjatywą ponad tysiąca warszawiaków zamieszkujących w mieście. Bezpośrednim impulsem stało się rozstrzelanie przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku dwudziestu dwóch Polaków, głównie

byłych powstańców i dwóch Rosjan. Wtedy zawiązała się szesnastoosobowa grupa inicjatywna z Edwardem Ładą Cybulskim jako przewodniczącym budowy. Pomnik wrastał w historię i tradycję miasta.

- Nie, nie był hołubiony przez władzę, ale mieszkańcy o nim pamiętali. Spontanicznie każdego roku w rocznicę Powstania o godzinie 17. spotykali się na skwerze przy pomniku. Tak było i teraz, 1 sierpnia 1983 roku. Oczywiście że tam byłem! Z powodów osobistych i zawodowych. Mój teść, powstaniec, zginął w Dachau, szwagierka była sanitariuszką na Bielanach. Byłem też z powodów zawodowych. Nie wyobrażałem sobie, by jakieś zdarzenie z życia miasta umknęło mojemu obiektywowi. Musiałem tam być. Spontaniczna, niemal rodzinna manifestacja dobiegała końca. Złożono kwiaty, ludzie się rozchodzili. Z zawodowej zasady wychodzę ostatni, dlatego byłem jeszcze na skwerze. Wtedy od strony ulicy Szarych Szeregów w kierunku pomnika kierowało się uformowane czoło pochodu. Stefan Korejwo i Janusz Łądzin nieśli wieniec. Za nimi Henryk Grządzielski z synkiem i kimś jeszcze nieśli transparent z napisem „Famarol”, wykonany liternictwem takim jak nielegalna „Solidarność”. Dalej młodzież, ludzie z dziećmi na rękach, starsi. Kiedy złożyli wieniec, Henryk Grządzielski z synkiem i Stefan Korejwo stanęli z transparentem przy pomniku. Zabrzmiły słowa hymnu, wszyscy unieśli prawą rękę z dłonią ułożoną w znak zwycięstwa. Malec także. Było coś niesamowicie podniosłego w postawie pięciolatka i, co tu mówić, wśród wszystkich uczestników zdarzenia. Robiłem zdjęcia bez przeszkód. Natychmiast w redakcyjnym laboratorium wywołałem film i zrobiłem odbitki. Negatyw ukryłem w szafce redaktora Martychewicza. Serwis przekazałem naczelnemu, informując, że nic więcej nie mam, a negatyw zniszczyłem.

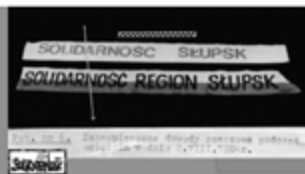
- Chłopie, zachowaj to w tajemnicy - poradził mi Wiesław. Nie przypuszczaliśmy, by zdjęcia mogły pójść w naszym tygodniku. Jak to się stało, że znów zaproszono mnie do KMMO i wypytano o negatyw? Oświadczyłem stanowczo: - negatyw zniszczyłem, zawsze tak robię. - Nie wiem, czy uwierzyli.”

Czytam na stronie 223 publikacji z 2011 roku - Igora Hałagidy - „NSZZ

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” REGIONU SŁUPSKIEGO (1980–1990)

Tom 2: dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR
i Służby Bezpieczeństwa

IGOR HALAGIDA



„Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990) tom 2: dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”: O godz. 17.00 w kościele Mariackim odprawiona została msza zamówiona przez kilku pracowników Fabryki Maszyn Rolniczych „Agrometr-Famarol” w Słupsku w intencji powstańców Warszawy. Po mszy około 60 osób zebrało się przed kościołem, pomaszerowało na pl. Powstańców pod pomnik Po-

wstańców Warszawy. Ww. grupa w czasie przemarszu rozwinęła transparent z napisem „Famarol”, a pod pomnikiem złożyła dwa wieńce, na których stwierdzono dwie szarfy. Na białej szarfie widniał czerwony napis „Solidarność Słupska”, a na białoczerwonej czarny napis „Solidarność Region Słupski”. Szarfy te usunięto i zabezpieczono. Wśród obecnych rozpoznano M[irosława] Pajaka (...), Stefana Korejwę (...), Henryka Grzędzielskiego (...).” Notatka datowana: 1984, sierpień 3.

W 1987 kwiaty pod pomnikiem złożyli Jolanta Joachimiak, Janusz Łądzin, fotografował Edward Müller. Wszyscy zostali aresztowani. Müllerowi zarekwirowano aparat fotograficzny. Píše o tym Anna Bogucka Skowrońska w „Raporcie o stanie bezprawia”.

Upłynęły lata. Historycy IPN mozolnie odsłaniają prawdę o wydarzeniach i ludziach. Wiele dokumentów zniszczono, ale te, które ocalały, dają obraz i skalę infiltracji solidarnościowych struktur. A jak było, gdy album o Słupsku tworzyli Szypowscy? To przemilczenie sprawy pomnika Powstańców Warszawy w Słupsku w tekście wprowadzającym uzupełnia fotografia Pomnika zamieszczona na stronie 65 z podpisem: „Już 15 września 1946 roku nastąpiło odsłonię-

cie - pierwszego w Polsce - pomnika poświęconego Bohaterom Warszawy ufundowanego przez społeczeństwo Słupska, a wykonanego przez J. Maletę i J. Kołodziejczyka.”

Wyjaśnienie różnicy dat znajduje się między innymi na stronie internetowej poświęconej ks. Janowi Zieci: „We wrześniu 1945 roku ekshumowano w Lasku Południowym zwłoki zamordowanych przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku polskich robotników przymusowych. W dniu 15 września odbył się uroczysty pogrzeb ofiar tej zbrodni. Pochowano ich na placu Powstańców Warszawskich. Kondukt pogrzebowy prowadził i przemawiał nad trumnami poległych ks. Jan Zieja. On też był inicjatorem nadania temu miejscu nazwy placu Powstańców Warszawskich (...). W miejscu pochówku postawiono prowizoryczny pomnik z desek i dykty, poświęcony powstańcom warszawskim.”

Pomnik Powstańców Warszawskich w tym roku (2015) został odrestaurowany i był miejscem tegorocznych uroczystości 11 Listopada zorganizowanych przez Stowarzyszenie Rozwoju Inspiracje w Słupsku. Historia odzyskała mowę.

**Czesława Długoszek
Objazda**

**„Krekodaj (słupski)”, Starostwo Powiatowe, Słupsk, 2014.*



Fot. J. Maziejuk

Stare dłuto ojca zmieniło życie

Dziesiątki odbytych wizyt u lekarzy konwencjonalnych i niekonwencjonalnych, przemieszczeń się między wieloma miastami w poszukiwaniu ratunku i... żadnego efektu. Nie było wyjścia, tylko mus zmierzenia się samemu z chorobą.



Fot. W. Lipczyński

Zaproszono mnie na otwarcie 27 listopada ub. roku wystawy rzeźby Daniela Jankowicza w słupskim teatrze Rondo. Poszedłem i poznałem artystę siedzącego na wózku inwalidzkim, skromnego mężczyznę o żywych, ciepłych oczach, spoglądającego na mnie przez szkła delikatnych okularów, przebywającego w otoczeniu żony i dorosłych dzieci. Świątował swój artystyczny sukces. Od urodzenia jest bardzo „wrośnięty” w rzeczywistość Słupska, stąd na otwarciu wystawy była pełna sala gości. Przyszli koledzy szkolni, znajomi, sympatycy jego twórczości, rodzina.

Wyeksponowane zostały prace składające się na cykl płaskich form

o tematyce religijnej i innej, charakteryzujące się wysokim poziomem perfekcjonizmu. Zastosowana technika tzw. reliefu polega na wydobywaniu z płaszczyzny kompozycji rzeźbiarskiej, przy jednoczesnym pozostawieniu tła. Tego typu pracę ogląda się od przodu. Może być ona zróżnicowana w zależności od stopnia wypukłości. Mamy relief płaski, wypukły i wklęsły. Rzeźby powstałe to formy przestrzenne przedstawiające postacie ludzkie, anioły, ptaki, elementy roślinne i inne, również o charakterze abstrakcyjnym i prace modernistyczne. Wszystkie są starannie wykonane, z wielką precyzją pokazane szczegóły, detale. Rzeźby posiadają polichromię zdobną

cą, dobraną do charakteru i tematu pracy z wielkim zapałem. Mają barwy od hebanowych, poprzez ciepłe w odcieniach żółci i brązu do gamy szarości. Od 2011 roku rzeźbiarz jest członkiem Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego przy Słupskim Ośrodku Kultury. W 2012, w otwartym konkursie „Niekontrolowany Obszar Wrażliwości” otrzymał wyróżnienie prezesa stowarzyszenia o tej samej nazwie co konkurs za pracę „Adam i Ewa”. W tymże samym konkursie w 2014 roku otrzymał nagrodę dyrektora SOK za rzeźbę „Czaple”.

Nigdy nie myślał, że będzie rzeźbiarzem, że kiedyś może mieć taką pasję. A stało się. Doczekał się pierwszego wernisażu. Od kilku lat żyje tylko tą pasją. A kim był? Po ukończeniu szkoły podstawowej podjął naukę w Zespole Szkół Mechanicznych, gdzie uczył się obróbki skrawaniem. Naukę tę ukończył maturą w 1978 roku i zgodnie z zainteresowaniami technicznymi wybrał teraz studia na Wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Gdańskiej, które ukończył. Po odbyciu rocznej służby wojskowej rozpoczął pracę zawodową na stanowisku technologa w Fabryce Maszyn Rolniczych „Famarol” w Słupsku, następnie w Fabryce Naprawy Autobusów „Kape-na” - na stanowisko samodzielnego konstruktora. Pracował tam osiem lat. Założył rodzinę, został szczęśliwym ojcem. Zbudował dom i osiągnął pełną stabilizację życiową.

Dziś, wspominając tamte lata, mówi: - Cieszyłem się z wszystkich swoich życiowych osiągnięć. Moje zainteresowania koncentrowały się wokół wyuczonego zawodu mechanika, technologii wytwarzania i konstrukcji. Interesowałem się również sportem i polityką. Grałem na gitarze klasycznej i na harmonijce ustnej. Z pasją uprawiałem biegi przełajowe i piłkę siatkową. Ulubionym moim zajęciem było też wędkowanie. Nie przejawiałem żadnych zainteresowań plastycznych. W 1994 roku zmieniłem zatrudnienie - podjąłem pracę w firmie Rubbermaid - Poland, na początku jako kierownik działu planowania produkcji, potem - jako szef produkcji. Po dziesięciu latach pracy w tym zakładzie, w 2004 roku zmuszony byłem przejść na rentę inwalidzką.



- I skąd wzięła się pasja do rzeźby, jak można wytłumaczyć fenomen naglego pojawienia się zdolności rzeźbiarskich i artystycznej weny twórczej - zapytałem. Daniel Jankowicz odpowiedział: - Obecnie moją pasją nie jest rzeźba jako taka, ale sam proces rzeźbienia widziany przeze mnie jako rozpoczynanie nowej historii życia kawałka martwej materii, w moim przypadku jest to kawałek drewna. Nie potrafię odpowiedzieć, jak ta pasja się rozpoczęła. Był to z pewnością jakiś proces dochodzenia do samego aktu rzeźbienia. Od kiedy pamiętam lubiłem przebywać w otoczeniu rzeźb, zawsze je podziwiałem i wyobrażałem sobie twórcę, który je wykonał. Podziwiałem kunszt artysty i ogrom pracy,

którą musiał wykonać. Sposobność oglądania rzeźb miałem przebywając w różnych kościołach, muzeach, zabawkowych obiektach, podziwiałem rzeźby w ich wnętrzach, w kształtowanych ogrodach i na fasadach. Być może jakiś wpływ na to co dzisiaj robię miał fakt, że mój ojciec był z zawodu stolarzem, więc od najmłodszych lat przebywałem w otoczeniu drewna i miałem okazję nabrać do niego emocjonalnego stosunku. Owszem, w dzieciństwie strugałem szczyrykiem gwizdki, łódki, klipy. Ojciec nauczył mnie wielu prac typowo stolarskich, potrzebnych do wytwarzania mebli, ale nie miało to nic wspólnego z rzeźbieniem. Może jedynie wykończenie powierzchni gładkich (bejcowanie, woskowanie, szlifowanie). Myślę, że punktem zwrotnym było moje wcześniejsze projektowanie komputerowe w 3D. Było to w pierwszych pięciu latach przebywania na rencie. Robiłem to hobbystycznie w celu poszerzenia wiedzy inżynierskiej, a także dlatego, żeby nie stać się współczesnym analfabetą. Jeszcze wtedy po cichu marzyłem, że uda mi się odzyskać zdrowie i wrócić do aktywności zawodowej. Zraz potem, w październiku 2010 roku zacząłem rzeźbić. Tematy do swoich prac czerpałem z otaczającego świata - z przyrody, czasem był to jakiś cień, obraz, ślad, smuga przeżytego zdarzenia. Pojawiały się również tematy okazjonalne, powstawały konkretne prace przeznaczone na prezenty dla rodziny, znajomych, przyjaciół.

- A choroba? Czy istnieje jakaś relacja między nią a pasją twórczą?

- Moja choroba została zdiagnozowana już w 2000 roku. Mimo że pierwsze jej objawy, z których nie zdawałem sobie sprawy, były już odczuwalne pięć lat wcześniej. Pierwsza otrzymana informacja o stwardnieniu

rozszianym, które mnie dotknęło, była dla mnie ogromnym wstrząsem. Choroba jednak postępowała. Było dla mnie to trudne do zaakceptowania. Stopniowe zdobywanie wiedzy na jej temat wprawiało mnie w coraz gorszy nastrój, prowadzący wprost do depresji. Ciągłe czytanie o chorobie stało się



Fot. W. Lipczyński

moją obsesją. Szczególną udręką była nabyta wiedza o skutkach choroby, które mogą prowadzić do ciężkiego trwałego kalectwa. Odbyłem dziesiątki wizyt u lekarzy konwencjonalnych i niekonwencjonalnych, przemieszczeń się między wieloma miastami w poszukiwaniu pomocy, ratunku. Kiedy wszystkie sensowne możliwości zostały wyczerpane, nie miałem wyjścia, musiałem zmierzyć się z chorobą, żyć na tyle normalnie, na ile się da. Zawodowo pracowałem jeszcze tylko cztery lata i musiałem przejść na rentę chorobową.

Dziś w domu poruszam się przy pomocy laski i ścian, poza domem - na wózku inwalidzkim przy pomocy osoby towarzyszącej. Choroba sprawiła, że pozostała mi tylko jedna sprawna, lewa ręka. Całe życie by-



Fot. W. Lipczyński

łem osobą praworęczną, więc musiałem nauczyć się od nowa wielu życiowych czynności. Moje nogi są sprawne w takim stopniu, że poruszam się powoli o lasce na bardzo krótkich dystansach i po płaskim podłożu. Z tego też powodu musiałem zmienić miejsce zamieszkania na dostosowane dla osób z dysfunkcją ruchową. Jestem w stanie pokonać kilka stopni schodów przy pomocy osoby asekurującej i poręczy po lewej stronie. W codziennych czynnościach, z którymi nie daję sobie rady, pomaga mi

I tak zaczęło się moje rzeźbienie. Dłuto okazało się ostre, drewno poddawało się, a w głowie zaświtał pomysł. Początki nie były łatwe, ale zapal narastał i trwa do dziś. Z perspektywy pięciu lat mojej pracy mogę stwierdzić, że rzeźbienie pomaga przełamywać moje ograniczenia, dyscyplinuje do aktywności fizycznej i psychicznej. Jest dla mnie swoistą formą rehabilitacji, daje poza tym dużą radość i satysfakcję z „ożywiania martwej materii”. Ból jest moim codziennym towarzyszem, ale rzeźbienie sprzy-

pierw wykonuję na drewnie szkic ołówkiem, w ten sposób rozplanowuję pracę, określam proporcje i oceniam jeszcze raz, czy pomysł jest godny realizacji i czy mu podołam. Na tym etapie często koryguję wcześniejsze zamierzenia, także z powodu narzędzi jakich nie posiadam, a bywa, że też z małej wiary w sukces. Jest to szczególny etap, bo towarzyszy mi wiele rozterek. Konturowanie wykonuję przy pomocy piły, wiertarki, dłuta, czym się da, byleby uzyskać zamierzony efekt. Czynność tę rozumiem jako robienie przestrzeni do właściwego rzeźbienia. Następny etap to wykonanie tzw. zgrubnej obróbki nadającej pracy wstępny kształt. Dalej wykonuję obróbkę kształtującą podcięcia nazywane kątami ujemnymi, fakturę powierzchni rzeźby i fakturę tła. Kolejny etap to szlifowanie powierzchni, które mają pozostać gładkie. Na samym końcu wykonuję czyszczenie zakamarków rzeźby, tzw. ujednolicanie linii przenikania, przecinających się powierzchni. W przypadku reliefów wykonuję jeszcze fakturę ścianki tylnej, płaszczyzn bocznych oraz podcięcie na zamocowanie zawieszki. Nacinam asygmatę oraz datę ukończenia. Na tym nie koniec, bo potrzebne jest jeszcze kolorowanie oraz zabezpieczenie drewna. W tym celu przygotowuję bejcę, często robię mieszanki, aby odnaleźć zamierzony kolor. Bejcuję i niekiedy po wyschnięciu jeszcze lekko ponownie szlifuję rzeźbę. Pracę kończę pokryciem rzeźby woskiem pszczelim i polerowaniem. W miarę postępowania tych prac tworzy się między mną a rzeźbą swoista, trudna do określenia więź emocjonalna, pewnego rodzaju forma przywiązania. Ze względu na to, że mogę używać tylko delikatnych narzędzi snycerskich i z powodu sprawności tylko jednej ręki, moje rzeźby powstają przez 50 - 150 godzin. Pracuję codziennie, bywa, że przez osiem godzin. Obecnie nie sprzedaję swoich prac. Nie miałoby to jakiegokolwiek uzasadnienia ekonomicznego. Nie mam pracowni, za stół warsztatowy służą mi jedynie moje kolana. Latem rzeźby wykonuję w szopie, w której znalazłem stare dłuto ojca, a zimą - przy oknie w rogu kuchni swojego domu.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. W. Lipczyński

moja żona oraz dzieci. Jestem im za to bardzo wdzięczny. Znam przypadek mojego kolegi lekarza, poznanego w ośrodku terapeutycznym, również chorego na tę samą chorobę, którego żona, także lekarz, zostawiła, gdy się dowiedziała o jego problemie zdrowotnym. Cały czas śledziłem i nadal śledzę zdobycze medycyny w zakresie nowych leków i sposobów leczenia stwardnienia rozsianego.

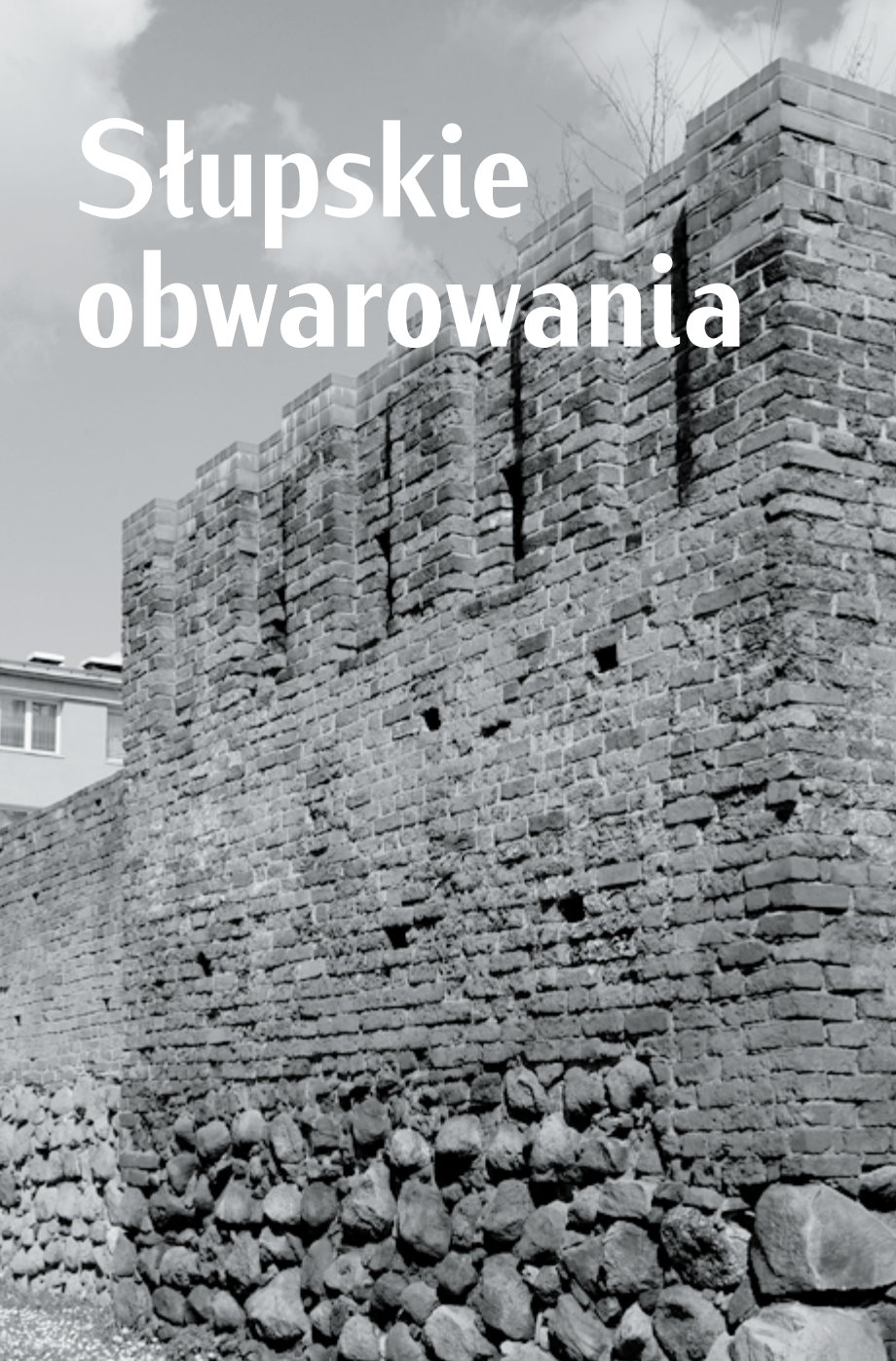
- Jakie były początki rzeźbiarskiej terapii, która zmieniła pana życie?

- W 2010 roku, przebywając w przydomowej szopie, przypadkowo natrafiłem na dłuto stolarskie, które pozostało po moim nieżyjącym już ojcu, stolarzu. Postanowiłem je naostrzyć. Wziąłem do ręki kawałek bukowego drewna opałowego, żeby sprawdzić efekt swojej pracy.

mierzeńcem w walce z nim, ponieważ angażuje w takim stopniu moją psychikę, że w czasie pracy przenoszę się w inny, lepszy świat.

Rozmawiamy jeszcze o kolejnych etapach pracy rzeźbiarza. - Na początku poszukuję tematu, zastanawiam się nad formą, rozmiarem, treścią przekazu, charakterem. Kiedy pomysł już dojrzeje próbuję dopasować materiał, zdobyć właściwe tworzywo. Bardzo często wygląda to tak, że wykonując jakąś rzeźbę, stawiam lub kładę obok siebie kawałek drewna z przeznaczeniem na następną pracę. Spoglądając na niego co jakiś czas, oceniam jego walory i staram się sprowokować powstanie nowego pomysłu. Bywa również, że sam kształt materiału, jego wady, oryginalność podsuwają nowy pomysł. Kiedy jestem już zdecydowany co będę robił, to naj-

Słupskie obwarowania



Cztery uczennice słupskiego Gimnazjum nr 4 im. Orła Białego przystąpiły do ogólnopolskiego projektu realizowanego przez Centrum Edukacji Obywatelskiej pn. „Śladami przeszłości – uczniowie adoptują zabytki”.

Dominika, Julia, Kinga i Patrycja pracują w projekcie, który ma na celu przybliżyć młodzieży wiedzę o zabytkach i przedmiotach codziennego użytku przedstawiających wartość historyczną. Uczennice postanowiły przybliżyć tematykę średniowiecznych murów obronnych Słupska. Zgłębiały swoją wiedzę na ich temat nie tylko z literatury naukowej i popularnonaukowej, ale kontaktowały się z Delegaturą Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków i Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Historia Słupska sięga średniowiecza. Jak większość innych gro-

dów z tamtych czasów Słupsk posiadał obwarowania. Początkowo była to drewniana palisada, później pojawiły się obwarowania wzniesione z kamienia i czerwonej cegły. Głazy kamienne dziś stanowią podmurówkę i widoczne są z ulicy Jan Pawła II. Liczne źródła historyczne podają, że obwarowania miejskie powstawały w kilku etapach, dlatego dzisiejsza ich wysokość i kształt, są wynikiem długiego procesu rozbudowy i podwyższania murów, które poprzecinane były bramami miejskimi: Holstenów, Młyńską i Nową Bramą oraz furtami: Kowalską, Sowią i Mniszą. Bramy zostały

wybudowane w XIV wieku i stały się nie tylko elementem obronnym, ale również wyznacznikiem granic miasta. Dzięki nim uzyskało ono trapezowaty kształt.

Wzniesione były w stylu gotyckim. Początkowo tylko dolna ich część była murowana, a pozostała - drewniana. Wyznaczały one granice miasta i kierunki dróg handlowych. Pierwsze dwie wzniesiono wzdłuż arterii komunikacyjnej ze Szczecina do Gdańska. W późniejszym okresie została wzniesiona Nowa Brama. Pojawienie się jej oznaczało otwarcie się miasta na kierunek wschodni i zachodni. Vis a vis tej bramy powstała Brama Kowalska, która bardziej przypominała furtę, czyli wylom w murach obronnych. Oprócz wspomnianych bram znajdowały się w nich wykusze i liczne otwory strzelnicze.

Z inicjatywy Bogusława V w granicach miasta był budowany zamek książęcy, który miał stać się siedzibą księcia i jego syna, jednak słupscy rajcowie nie wyrazili zgody na dokończenie tej budowy. Obawiali się nadmiernego wzrostu władzy książęcej i jej ingerencji w sprawy miasta. Rozpoczętą budowę dokończył dopiero w 1507 roku Bogusław X.

W XIX wieku, gdy miasto zaczęło się intensywnie rozbudowywać, część średniowiecznych murów obronnych rozebrano. Spotkało to mury od strony północnej i zachodniej. W 1834 roku rozebrano Basztę Prochową, a w 1867 - Bramę Holsztyńską. Brama Młyńska, Nowa Brama oraz Baszta Czarownic zaczęły pełnić inne funkcje. W Nowej Bramie znajdowało się aż do II wojny światowej Muzeum Ziemi Słupskiej. Inne budynki pełniły funkcje magazynowe. Niektóre zostały domami mieszkalnymi.

Średniowieczne mury obronne Słupska napawają dumą wielu słupszczyzan. Niewielu zdaje jednak sobie sprawę, że ich całkowita długość wynosiła około 2.400 metrów. Mury te miały przyczynić się do wzrostu poczucia bezpieczeństwa mieszkańców średniowiecznego grodu. Dzisiaj mieszkańcy miasta mogą podziwiać jedynie fragmenty gotyckich zabudowań obronnych. Dawniej świadczyły one o sile gospodarczej grodu. Obecnie są atrakcją turystyczną i świadczą o odległej historii miasta.

Patrycja Jarotek
Słupsk



Zwykły spełniać się przed sztalugą

- Bez przerwy poszukuję swoich osobistych, niesztampowych, „dobiegających głębi” środków wyrazu. Bywa, że cel jawi się na odległość wyciągniętej ręki, tuż – tuż. Chwilę później pryska niczym bańka mydlana. I rozpoczynam na nowo poszukiwania formuły artystycznego przekazu
- mówi o swojej artystycznej pracy Gerard Tredar ze Słupska.

Najpierw może krótkie (?) tzw. słowo wstępne.

W okresie minionych czterdziestu z górą lat pisywałem o nim, recenzując jego twórczość plastyczną, wielokrotnie - przynajmniej kilkanaście razy. Między innymi na łamach „Głosu Pomorza”, „Gryfa”, „Gońca Pomorskiego”, „Tygodnika Słupskiego”, „Bałtyckiego Magazynu FOTO”, „Powiatu Słupskiego” oraz koszalińskiego „Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego”. Nie będę jednak dziś odwoływał się do fragmentów żadnej z tamtych publikacji. Bo i po co? Toż to - że sparafrazuję recenzenta najnowszych (styczeń 2009) przesłań poetyckich Wisławy Szymborskiej z tomu pn. „Tutaj” - ten sam artysta, którego poznałem bardzo, bardzo dawno. Ten sam - to źle, ponieważ twórca winien się zmieniać; ten sam - dobrze!, wraz z innymi pasjonatami sztuki przywiązałem się wszak we wspomnianym czterdziestoleciu do niego i wizji świata, jaką ów maestro darzy...

Zacznę - mimo wszystko - trzydziestodanowym i trochę uaktualnionym cytatem z ww. „Tygodnika”, z roku 1997: „Jest on swoistym ewenementem twórczym w Słupsku, ba! daleko poza opłotkami grodu nad Słupią. Od przeszło dwóch dekad zadziwia bowiem mieszkańców miasta i regionu niezwykle operatywnością i sprawnością warsztatową. Wątpię ponadto, aby znalazł się na ziemi słupskiej, mało: na Pomorzu Środkowym, drugi nieprofesjonalny sztalugowiec z 864 (teraz 2.479!) obrazami olejnymi oraz 35 (dzisiaj 63) ciepło, często bardzo ciepło przyjmowanymi pokazami indywidualnymi i zbiorowymi w kraju i za granicą (Niemcy, Szwecja, Dania, Belgia, Holandia, Luksemburg, USA, Kanada i - tak, tak - Nowa Zelandia). A propos: Właśnie tam, w nowozelandzkim Auckland, zjednał sobie niedawno nasz mistrz sponсора, dzięki któremu jego twórczość zaczęła docierać aż na skraj Azji i do Antypodów. Mi i całej redakcji pozostaje tylko „trzymanie kciuków”. Robimy

to z niekłamaną spontanicznością i przyjemnością.

* * *

Krótkie curriculum vitae mistrza. Rodowity gdańszczanin ze staroka-szubskimi, jak pamięcią sięgnąć, korzeniami. Sześć lat po maturze przepracował w mieście nad Motławą jako stoczniovec z dyplomem mechanika i konstruktora okrętów. W 1975, gdy władze PRL zmieniły mapę administracyjną kraju, przeniósł się do Słupska, wiążąc się zawodowo (funkcjonariusz-ogniomistrz, stricte zaś pracownik ds. małej poligrafii) z Komendą Wojewódzką i Rejonową Państwowej Straży Pożarnej oraz Zarządem Wojewódzkim Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Aż polikwidowano takie województwa jak nasze...

Został „z marszu” - na podstawie wcześniejszych, w zgodnej ocenie fachowców bardzo udanych prób rzeźbiarskich i graficzno-malarskich - członkiem (notabene w co-

raz większym stopniu nominalnym przez wyjątkową rzutkość i biegłość, w reasumpcji: dojrzałość techniczną) 200-osobowego Klubu Plastyka Amatora WDK.

- Ponadprzeciętny talent, jeden z prawdziwych twórców KPA, ani chybi profesjonalista! - mawiał już w latach osiemdziesiątych założyciel i opiekun Klubu do śmierci (2000), Stefan Morawski.

Strażak z takim zacięciem i „półprofesjonalizmem” (według mnie w chwili obecnej ów „quasiprofesjonalizm” można, bez przesady, między przysłowiowe bajki włożyć)... Nie on pierwszy wziął w końcu rozbrat ze swoim fachem. Garść nazwisk ze świata sztuki przez duże S: Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Lem (lekarze), Wiesław Ochman (inżynier... górnictwa i hutnictwa), Henryk Czyż (prawnik), Marek Grechuta (architekt), Robert Janowski (weterynarz). Trzeba więcej „dosadniejszych” przykładów?

* * *

Pora jąć się istoty sprawy - tematyki i rodzajów prac plastycznych bohatera niniejszego szkicu. - Zanotuj - mówi - jak chcesz. Hołubię zwłaszcza przetworzone (z reguły bodaj trochę odrealnione) rodzime krajobrazy, pejzaże oraz bukiety-kombinacje, martwe natury, słowem: bliską mi od dziecięcych lat przyrodę. Przyroda... Tutejsze jeziora i lasy, urzekające i tajemnicze jak bezkres wokół pałaco-

wych ogrodów legendarnej królowej Asyrii - Semiramidy. Ale także wychwycone przez ciągle spoglądanie na świat z boku, z ukosa, wirtualnym trzecim wzrokiem: niedomknięta brama, ukryta w zieleni furtka, prowadząca Bóg wie dokąd droga, ścieżyna, trakt. W czym rzecz? Ja - w odróżnieniu na przykład od impresjonistów - nie pasjonuję się uchwyceniem chwili, a zaciekawieniem odbiorcy, wciągnięciem go w głąb sztuki. Ot co.

- Równą przyjemność - dodaje odwiedzony malarz - czuję w trakcie kreowania wspomnianych martwych natur, ha! również... aktów lub półaktów. Taka dewiza: wychodzić naprzeciw odbiorcom swych kompozycji wszelkimi sposobami, stale i wszędzie - przyświecała, wydaje się, moim idolom: Salvadorowi Dali i Iwanowi Szyszkiniowi.

Gdzie Rzym, gdzie Krym? - chciałoby się zapytać. Szyszkin: dziewnastowieczny petersburski autor realistycznych pejzaży, odznaczających się drobiazgowym oddawaniem szczegółów („Dale leśne”, „Dęby”, „Żyto”, „Poranek w sosnowym lesie”). I Dali: surrealista, który bardzo oryginalną metodą twórczą - „paranoiczno-krytyczną” - wprowadza nas w atmosferę niezwykłości i fantastyki, a wirtuozerską wprost techniką przywołuje sztukę graniczącą z... iluzjonizmem („Kanibalizm jesieni”, „Przeżucie wojny domowej”).

Każde spośród 40-50 oglądanych (ostatnio w Duo Cafe przy uli-

cy Szczecińskiej 29) płócien pachniało mi świeżą farbą, nosiło znamiona coraz to innej konwencji techniczno-programowej. Sporo wśród nich transpozycji naturyzmu, weryzmu. Łatwo też jednak można doszukać się w wymienionym zestawie kubistycznych bądź kubizujących realizacji, postkubistycznych kolaży, ucieczek w świat nadrealizmu, abstrakcjonizmu; nie dosyć: zamysłów tworzenia całkiem nowej faktury malarsko-rzeźbiarskiej (jak u El Greca: z anarchią linii pionowych, lotem ku górze oraz intensywnością spojrzenia, która często rozsada wprost przestrzeń obrazu) i... zwykłych, czasem wręcz szkolarskich (sic) zapisów otaczającej artystę - eksfunkcjonariusza straży pożarnej - rzeczywistości. Finis.

- Taki już, nie odkrywam przed Tobą Ameryki - powiada „na usprawiedliwienie” - jestem od zawsze. Bez przerwy poszukuję swoich osobistych, niesztampowych, „dobiegających głębi” środków wyrazu. Bywa, że cel jawi się na odległość wyciągniętej ręki, tuż - tuż. Chwilę później pryska niczym bańka mydlana. I rozpoczynam na nowo poszukiwania formuły artystycznego przekazu. Może w tym właśnie tkwi sedno całej przygody ze sztuką?

Odpowiadam we własnym imieniu: zapewne tak!

* * *

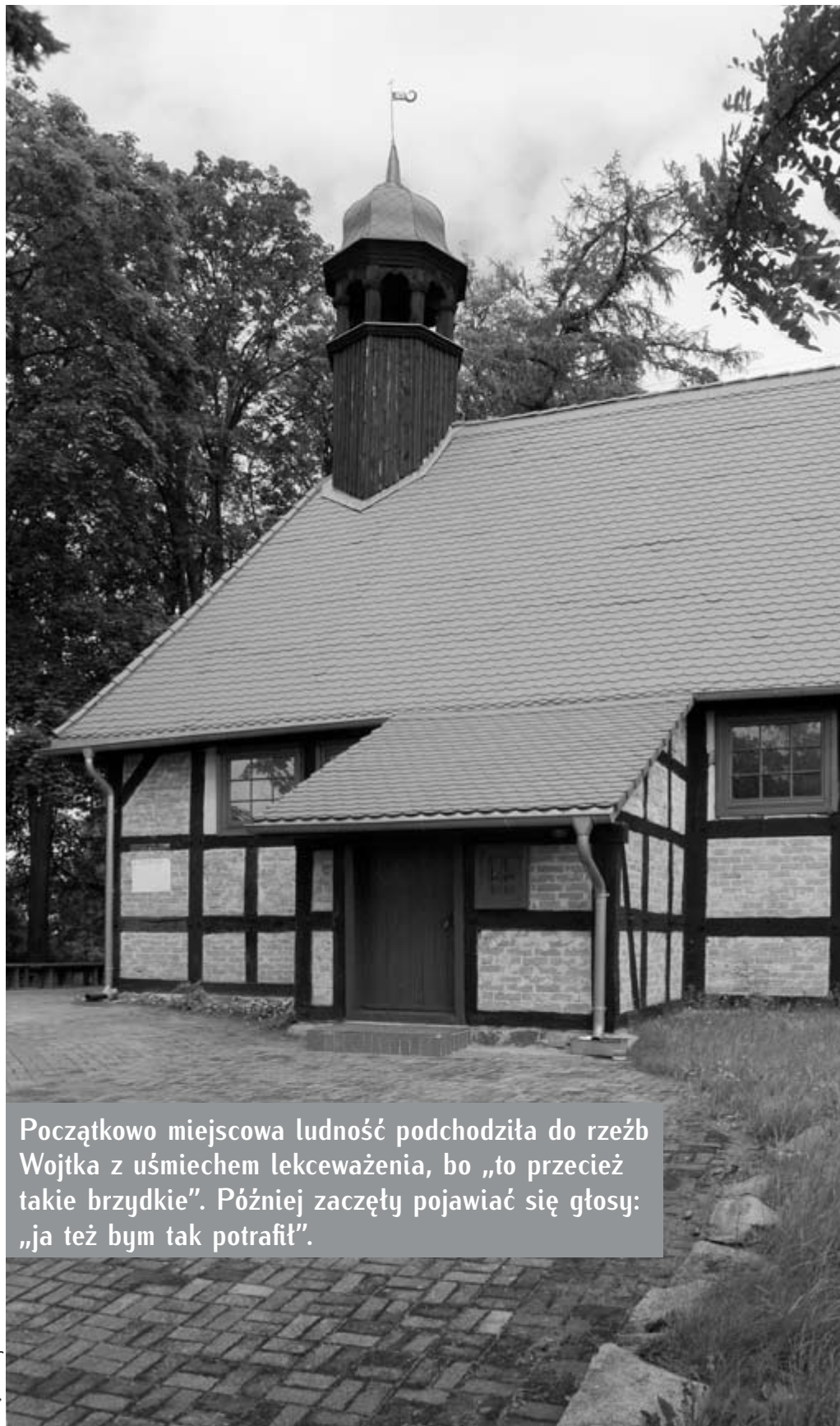
Post scriptum. Gerard Treder (jemu poświęcony jest niniejszy szkic dziennikarski) tworzy swe obrazy w pracowni przy ulicy Ziemowita, sąsiadującej z przepięknym ogrodem, miniparkiem i... piwniczną winiarnią. Pierwsi recenzenci: żona Teresa, matka oraz ulubieniec artysty, wnuk Karol. Jesienią i zimą - z każdym rokiem więcej wystaw; nie tylko w Słupsku, we wszystkich miastach województwa. Późną wiosną i latem - tradycyjne już wypady marszanda znad Słupi do Ustki („Żeby nie tworzyć sobie a muzom. Ponadto: plastykowi manna nie spada przecież z nieba”), gdzie gotowe, a w szczególności malowane „na gorąco” obrazy znajdują dziesiątki, setki nabywców.

Jeszcze jedno, moim skromnym zdaniem najważniejsze. Benefis co się zowie! Podzielił chyba ten autor-ski osąd władze miasta i powiatu. Bo Czytelnicy - jestem pewien - tylko mi przyklasną. Nieprawdaż?

Jerzy R. Lissowski, Słupsk



Kto rzeźbi, trzy razy się modli...



Początkowo miejscowa ludność podchodziła do rzeźb Wojtka z uśmiechem lekceważenia, bo „to przecież takie brzydkie”. Później zaczęły pojawiać się głosy: „ja też bym tak potrafił”.

Zwalone pnie lip leżały pod płotem i czas nastał najwyższy, żeby zrobić porządek wokół kościoła i w kościele. Ks. Mariusz Drogosz od tej sprawy rozpoczął proboszczowanie w Objeździe. Czasu było niewiele, obowiązki duszpasterskie objął z dniem 1 sierpnia 2015 roku, a uroczystość związana z osadzeniem w nowej parafii miała się odbyć 26 sierpnia, w dniu patronki kościoła, Matki Bożej Częstochowskiej.

Kłody, chaszcze trzeba było usunąć, przywrócić porządek, jednak żal było wrzucić do ognia snycerski materiał. Dla początkującego rzeźbiarza zdecydowanie najlepsze jest drewno lipowe: miękkie, łatwo poddające się obróbce.

Pan Czesław Kowalczyk ze Słupska zgłosił się jako pierwszy po lipowe pnie i doszło do transakcji. W zamian wyrzeźbi figurkę do przykościelnej kapliczki, a potem, może latem przyszłego roku, jeszcze figurę z pozostawionego przy kościele pnia. Jak obiecał, wywiązał się z umowy. Jednak figurka nie mieściła się we wnęce kapliczki i nie bardzo się nadawała. Wierni na pewno nie dostrzegliby w niej wizerunku Matki Bożej. Pan Czesław zabrał rzeźbę i obiecał zrobić następną.

Ks. proboszcz znał zarys sprawy, ale nie brał udziału w pertraktacjach i przyznam się jak na spowiedzi, wcale go nie wtajemniczałam w zmianę planów. Czekam na pracę pana Czesława, by pójść z nią i się wytłumaczyć.

Podobna historia zdarzyła się w dalekim Paszynie koło Nowego Sącza w czasach znacznie trudniejszych, a przez to będących wyzwaniem. Podczas peregrynacji po Polsce kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej proboszcz tamtejszej parafii ks. Edward Nitka na podeście poniżej obrazu „ustawił kilka rzeźb Oleksego. Symbolizowały uczucia religijne prostych ludzi. Nie udało mi się dowiedzieć, jakie wrażenie na mieszkańcach Paszyna zrobiło to bardzo śmiałe, szokujące zestawienie otoczonego kultem obrazu z paprakami głuchoniemego Wojtka” - pisze w jednej z gawęd Antoni Kroh. Książka nosi tytuł „Wesołego Alleluja Polsko Ludowa, czyli o pogmatwanych dziejach chłopskiej kultury plastycznej na ziemiach polskich”. Na rynku księgarskim pojawiła się w listopadzie 2014 roku, a autor otrzymał za nią Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tisch-

nera w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne.

Książka Antoniego Kroha przyszła do mnie w samą porę i skłoniła mnie do zmiany stanowiska w sprawie artystycznej oceny figurki Czesława Kowalczyka. Pocieszam się myślą, że i ksiądz Edward Nitka, bohater Antoniego Kroha, miał artystyczne wątpliwości, o których tak opowiada: „W samo milenium, podczas pielgrzymki głuchoniemych do sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Nowym Sączu Wojciech Oleksy wręczył ks. Biskupowi Ordynariuszowi prowadzącemu to nabożeństwo swoją pracę: Jezusa Ukrzyżowanego. (...) wtedy zaniósłem osobiście do muzeum w Nowym Sączu dla oceny artystycznej woja Lechitę i bodajże Chrystusa Ukrzyżowanego i otrzymałem odpowiedź zupełnie negatywną, o której twórca Wojciech nie wiedział, a ucieszony, że ks. biskup przyjął jego rzeźbę, dłużej w drewnie wytrwale i coraz śmielej brał się za świętki, polichromując je kredkami.”

W krótkim czasie Wojciech Oleksy zyskał sławę i uznanie, zachęcany przez ks. Edwarda Nitkę do artystycznej roboty. „Początkowo miejscowa ludność podchodziła do rzeźb Wojtka z uśmiechem lekceważenia, bo „to przecież takie brzydkie”. Później zaczęły pojawiać się głosy: „ja też bym tak potrafił”, co ks. Nitka kwitował słowami: „to nie gadaj, tylko zrób”. Podobno zachęcał też do rzeźbienia słowami: „kto rzeźbi, trzy razy się modli”. Tak powstawał zaczyn wielkiej sprawy: Muzeum Sztuki Ludowej im. ks. E. Nitki w Paszynie, historia prawdziwej, autentycznej kotwicy kulturowej. Muzeum znajduje się przy parafii pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Jego zbiory obejmują trzy tysiące eksponatów ludowego rękodziela. Podobnie kościół zdobią artystyczne wyroby miejscowych rzeźbiarzy i malarzy.

Takim sposobem, to co nazywamy kotwicą kulturową, stało się nie tylko materialnym znakiem tożsamości, ale tworzy duchowość mieszkańców wsi.

Jej istota, jak każdej kotwicy kulturowej, zasadza się na wyjątkowości łączącej tradycję wpisaną w konkretną przestrzeń geograficzną z działaniami mieszkańców i instytucji. Nie lada wyzwaniem jest złamanie stereotypowego krajobrazu polskich wsi, gdzie najczęściej jedyną wspólną aktywno-



Fot. J. Mażejguk

ścią kulturową są takie same dożynki i festyny. Paszyn jest wyjątkiem?

A gdyby u nas połączyć idee odтворzenia szlaku Jakubowego z aktywizacją artystyczną mieszkańców okolicy? Plener malarski w Rowach, Galeria Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego pod opieką artystyczną Zenona Frąckiewicza, zbiory etnograficzne, pieczolowicie gromadzone przez panią Zorzę Sędzicką w Zespole Szkół Samorządowych w Objeździe, które wciąż czekają na odkrycie i opracowanie są wyrazem działań konkretnych i ambitnych, jednak wciąż czekających na popularyzację, nawet wśród lokalnej społeczności. Szkoda również, że poza czymkolwiek zainteresowaniem pozostają wyroby koronkarskie i dziewiarskie kobiet z kół gospodyń wiejskich.

Pan Czesław Kowalczyk jest znany czytelnikom „Powiatu Słupskiego” autorem ciekawych artykułów, a snycerstwo jest jego nowo odkrytą pasją. Nie śmiałabym zestawiać jego koncepcji artystycznych z próbami rzeźbiarskimi brata organisty z Paszyna, Wojciecha Oleksego.

Zdaniem jury Nagrody Znak i Hestii im. ks. Józefa Tischnera w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne autor, czyli Antoni Kroh, „z humorem i czułością kreśli sylwetki swoich ukochanych twórców, ale przypomina też o propagandowym uwikłaniu „sztuki ludowej” oraz „jest najbardziej elokwentnym i wiarygodnym kronikarzem tego odchodzącego świata. Potrafi ze swej gawędy stworzyć przypowieść o najczystszych źródłach kultury lu-

dowej, tym samym przedłużając jej życie”.

Warto Czytelnikom „Powiatu Słupskiego” przedstawić lub przypomnieć sylwetkę Antoniego Kroha (1942) Postać to niezwykła, choć mało znana. Przysnam, odkrywam jego twórczość i rośnie moje dla niego uczucie podziwu. W twórczości jak nikt łączy mistrzostwo gawędy z wiedzą etnografa i historyka kultury. Od lat jest współpracownikiem kwartalnika „Polska Sztuka Ludowa - Konteksty”. Debiutował natomiast opracowaniem „Współczesna rzeźba ludowa Karpat Polskich” (1979). Pracował w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem i Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu.

Świadomość znaczenia kultury ludowej jako składnika tożsamości społecznej i narodowej nie zawsze towarzyszyła głównemu nurtowi przemian. Po II wojnie światowej kultura ludowa w tradycyjnym kształcie szybko traciła znaczenie, regionalną przynależność, naturalnych opiekunów i twórców. Migracje, powszechność oświaty, zmiany sposobów życia i pracy sprawiły, że dawne tradycje zachowało starsze pokolenie w lokalnych środowiskach. Rozpadła się spójna ludowa kultura, ale jej części, atrakcyjne elementy, weszły w nurt folklo-

rystyki, którym między innymi patronowała Cepelia.

Antoni Kroh zapisuje w gawędach zawartych w tomie „Wesołego Alleluja Polsko Ludowa” zjawiska okresu przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku na Sądeckczyźnie. Szczególną urodą urzeka opowieść „Wade buda Otu pana”. By rozszyfrować jej tytuł wróćmy znów do postaci ludowego twórcy Wojciecha Oleksego i księdza Edwarda Nitki, dzięki któremu Wojciech przestał być li tylko wiejskim pastuszkim. Anegdotę opowiedzianą przez księdza Nitkę zapisał Antoni Kroh.

„(...) zobaczyłem Wojciecha w garniturze, pod krawatem. Jakby mniej się garbił (...). Po odebraniu kolejnej nagrody oświadczył Księdzu: „Wade buba, Otu pana”, co znaczyło, że Władek (brat) będzie odtąd pasać krowy, bo Wojtek jest panem. Ksiądz z wielką radością i dumą odnotował te słowa w kronice, a potem dziennikarze jeden po drugim przepisywali to zdanie (...)”

Dzięki ks. Edwardowi Nitce talenty odkryli i pomnożyli (jak w ewangelicznej przypowieści) Franciszek Palka, Michał Jasiński i jego córka Maria Jasińska, Mieczysław Piwko, Stasicek, czyli Stanisław Mika i inni.

Antoni Kroh w narrację o pa-szyńskich ludowych twórcach włą-

cza opowieść o roli „mecenatu”, duchowych i materialnych opiekunach, przede wszystkim o wielkości ks. Edwarda Nitki, który wokół zwykłej lokalnej sprawy gromadził ludzi, a ludową rzeźbą swoich parafian potrafił zainteresować świat: Ludwika Zimmermana, który „był przyjacielem i dobrodziejem Paszyna, włożył tam wiele serca i niemało grosza”, Barbarę i Jerzego Wesołowskich z Warszawy, którzy zebrali ponad trzysta figurek Chrystusa Frasobliwego, a swoją kolekcję przekazali Muzeum Mazowieckiemu w Płocku.

Zasługą Antoniego Kroha niech będzie i to, że pokazuje mechanizmy, uwarunkowania socjologiczne i psychologiczne, jakie towarzyszą tworzeniu. Podpowiada, jaką siłą może być mecenat, wsparcie lokalnych autorytetów, bo przecież dzieła sztuki ludowej, podobnie jak każda działalność artystyczna nie po to jest, „by pod korcem stała”.

Czas kompozycyjnie zamknąć całość. Pan Czesław Kowalczyk pracuje nad nowym dziełem dla kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej w Objęździe. Ksiądz Mariusz Drogosz podjął się trudnego, kosztownego dzieła dokończenia prac remontowych zabytkowego kościółka i renowacji okalającego go terenu, we współpracy z konserwatorem zabytków (Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Gdańsku Delegatura, Słupsk). To początek, może zacząć spraw jednoczących lokalną społeczność?

Czesława Długoszek Objazda

Ps. Pan Czesław Kowalczyk przekazał już autorce tekstu nową pracę dla kościoła w Objęździe. Napisał do p. Czesławy: „Po chorobie wreszcie odzyskałem siły i oto efekt mojej pracy. Płaskorzeźba ma wymiary: wysokość 87 cm. i szerokość 27 cm. Pomalowana jest lakierem bezbarwnym, krzyż wcześniej zaznaczyłem farbą akrylową. Proszę o odpowiedź, czy się nadaje. Z uwagi na brak samochodu i po akceptacji przez księdza, płaskorzeźbę tę dostarczę do starostwa. Tutaj mam po prostu bliżej. Pani odebrałaby ją w stosownym dla siebie terminie”. Pani Czesława już odebrała płaskorzeźbę. Nie wiemy czy spodobała się księdzu i parafianom. Nie wiemy też jaka będzie artystyczna przyszłość p. Czesława. Życzymy mu jak najlepiej, by tak jak Wojtek Oleksy zyskał artystyczną sławę i uznanie. (red.)



Dłutem i... sercem

Po wstępnej obróbce klocka zabieram go do domu, gdzie w zaciszu swojego przedpokoju, nadaję mu dłutem ostateczny kształt – mówi o swojej pracy Czesław Kowalczyk ze Słupska.



Działka ogrodowa przy ulicy Sobieskiego w Słupsku jest ważnym miejscem w życiu pana Czesława, i jego żony Marii. Uprawiają ją już ponad trzydzieści lat! Rosną na niej piękne drzewa i krzewy zasadzone ich rękami. Jest miejscem odpoczynku, ale służy też jako... pracownia rzeźbiarska. Trzeba wiedzieć, że Czesław Kowalczyk ma również niecodzienne hobby. Jest też rzeźbiarzem!

Swoje dzieła wyczarowuje z drewna. W każdym kawałku konara, w każ-

dym dziwnie powykręcanym przez naturę drewnie umie dostrzec ciekawą postać - a to światełko, a to piękno kobiecego aktu lub postać zwykłego człowieka, żołnierza, zgarbionego starca. Nie wyobraża sobie życia bez rzeźbienia, tak samo jak bez pisania wierszy czy opowiadań. Zajmuje się rzeźbiarstwem już ponad czterdzieści lat! Nie ma żadnych profitów z tej działalności. Często swoje rzeźby rozdaje jako prezenty znajomym, bardzo niewiele sprzedaje. Do wszystkich się

przywiązuje. Mówi, że rzeźbi nie tylko dłutem, również sercem.

Właśnie ze względu na niemożność posiadania pracowni w mieszkaniu w Słupsku, działka ogrodowa służy mu też do tworzenia. Tutaj sypią się najgrubsze wióry z wstępnie obrabianego klocka drewna. - Stuku siekiery, młotka, a także czasem odgłosu piły motorowej w mieszkaniu sąsiedzi by nie zaakceptowali - mówi pan Czesław. - Po wstępnej obróbce klocka i tak zabieram go do domu, gdzie w zaciszu swojego przedpokoju, nadaję mu dłutem ostateczny kształt. Nie jest to komfortowa sytuacja, ale nawet w takich warunkach z każdego gatunku drewna, nie tylko z przysłowiowej miękkiej lipy, można coś wyczarować. Jeśli się kocha robić to, co się robi.

Obecnie pan Czesław tworzy postacie z jabłoniowego drewna. Do realizacji swojej inwencji twórczej wykorzystuje naturalne jego przebarwienia i kształty powstałe przez lata w pniach. Ma talent! W wielu swoich wierszach i opowiadaniach oddaje hołd i szacunek mieszkańcom wsi, dostrzega piękno wiejskich pejzaży, pochyla się nad ziemią, która daje chleb. Nigdy nie był jednak mieszkańcem wsi.

- Urodziłem się i wychowałem w mieście, ale moi rodzice pochodzą ze wsi. Dziejami losów osiedlili się w mieście, tutaj już wrosli w środowisko miejskie. Moja żona pochodzi natomiast z pięknej wsi pomorskiej - mówi pan Czesław. - Wychowaliśmy razem jedyną córkę, teraz oczekujemy wnucząt...

Pan Czesław pracuje w zakładzie produkującym wyroby z plastiku. Ubolewa, że nie jest już na emeryturze. Wtedy miałby więcej czasu dla siebie i dla swoich artystycznych pasji. Marzy mu się wydać książkę ze swoimi opowiadaniem, a wśród nich - z pięknymi opisami rodzinnej wsi żony. Zazdrości jej, że nie musi już pracować zawodowo i może dysponować swoim czasem, jak się jej podoba.

- W pogoni za bytem, karierą tracamy po drodze wrażliwość, nie dostrzegamy piękna otaczającego nas świata. Może warto trochę zwolnić i zastanowić się głębiej nad sensem tego, co na co dzień robimy? Świat jest naprawdę piękny, a natura i sztuka potrafi być lekarstwem na wszelkie zło - uważa pan Czesław.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk**

Zawsze przed orkiestrą

Z Bohdanem Jarmołowicz – dyrektorem naczelnym i artystycznym, dyrygentem Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

- Muzyka to wyjątkowa sztuka układania dźwięków w kompozycje i wykonywania tych kompozycji na instrumentach muzycznych. Do osób obdarzonych tymi szczególnymi umiejętnościami pan należy. Wieloletnie kierowanie słupską filharmonią, wyniesienie jej na najwyższy poziom, zdobycie uznania w kraju i zagranicą to pana osobiste sukcesy. Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest pan dziś jedną z najwybitniejszych postaci regionu, jego kultury i sztuki muzycznej. Proszę przypomnieć swoją drogę z Warmii do Poznania, a później do Słupska.

- Dziękuję za tak wysokie uznanie dla mojej osoby, a zwłaszcza za tę „wybitną postać”. Nie wiem czy tak jest rzeczywiście. Ale pozostawmy to. Moja przygoda z muzyką zaczęła się dość banalnie. Gdy miałem siedem lat, mój tata, który jest muzykiem, zaprowadził mnie do szkoły muzycznej. Była to Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopni w Olsztynie. Zacząłem uczyć się gry na fortepianie. Potem przyszła kolej na edukację w szkole II stopnia, którą ukończyłem w roku 1971 w klasie fortepianu i wychowania muzycznego. Szkołę tę wspominam bardzo dobrze. Jej wyznacznikiem był bardzo wysoki poziom, dzięki czemu nie miałem żadnych problemów z nauką na studiach. Takie przedmioty jak: kształcenie słuchu, ćwiczenia z kontrapunktu, instrumentacja, harmonia czy nawet przedmioty teoretyczne, bardzo dobrze przygotowały mnie do przyszłego zawodu. Postanowiłem zdawać na dyrygenturę. Poznań wybrałem z powodów osobistych. W tym czasie, czyli w latach 70-tych, dyrygenturę można było studiować tylko w trzech ośrodkach: w Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Na roku było zaledwie kilka osób.

- Wyższą Szkołą Muzyczną w Poznaniu kierował rektor Stefan Stuligrosz i prowadził słynne Słowiaki Poznańskie. Czy pan w tym chórze uczestniczył, miał kontakt z profesorem Stuligroszem?

- Na pierwszym roku studio- wałem dyrygenturę u rektora Stuli-

grosza. Potem kontynuowałem ten kierunek u profesora Witolda Krzemieńskiego. W chórze Poznańskie Słowiaki nie śpiewałem, ponieważ nie byłem z Poznania. Poza tym w roku 1972 podjąłem studia na drugim kierunku - kompozycji - u prof. Floriana

przecieraliśmy te szlaki. Byliśmy jedynym zespołem, który wystąpił na Festiwalu Jazz nad Odrą we Wrocławiu (dwukrotnie) i stamtąd przywiózł nagrody. Większość utworów zespołu stanowiły nasze kompozycje (także moje) i standardy jazzowe. W zespole



Fot. Archiwum Autora

Dąbrowskiego. Wszyscy ci pedagodzy (prof. Krzemieński był także koncertującym dyrygentem) byli wielkimi osobowościami.

- Co wiąże pana z klubem studenckim „Odnova” i na Winogradach?

- W klubach tych (klub na Winogradach nazywał się „Nurt”), razem z założonym przeze mnie Kwintetem Danki Jarmołowicza, a później grupą „Warsztat”, wielokrotnie koncertowałem. W latach 70-tych w Wielkopolsce królowała muzyka rockowa. Nie było w ogóle zespołów jazzowych. My

le zaczęliśmy swoją artystyczną karierę dziś uznani muzycy: Krzesimir Dębski - na skrzypcach, Zbyszek Wrombel - na basie, Krzysztof Przybyłłowicz - na perkusji i Waldemar Świergiel - na puzonie. Na studiach współpracowałem także z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji Zbigniewa Górniego, dla której dużo komponowałem i aranżowałem. Współpracowałem także z Teatrem Nowym w Poznaniu, w czasie, kiedy dyrektorem tej sceny była Izabella Cywińska. Pełniłem tam funkcję kierownika muzycznego.

- **Jakie były początki w Słupsku, co zdecydowało, że tutaj podjął pan pracę?**

- Ze słupskim Teatrem Muzycznym współpracowałem jeszcze przed rokiem 1980. Opracowałem wówczas na potrzeby orkiestry muzykę Kurta Weilla do „Opery za trzy grosze” - znakomitego spektaklu, wyreżyserowanego wtedy przez Janusza Nyczaka (z Poznania). Wtedy szefem orkiestry był mój kolega z roku, Grzegorz Nowak, który jednak w 1980 roku wyjechał do USA i zaproponował mnie na swoje stanowisko (wcześniej ja otrzymałem propozycję pracy w Słupsku,



ale z niej nie skorzystałem i przekazałem ją Nowakowi). W taki oto sposób pierwszy raz objąłem dyрекcję słupskiej orkiestry, wtedy jeszcze kameralnej. Muszę powiedzieć, że bardzo trudno było otrzymać pracę na etacie w charakterze dyrygenta, tym bardziej na stanowisku dyrektorskim, które stworzyło okazję do kreowania własnej wizji instytucji muzycznej. Dlatego zgodziłem się, mimo że w Poznaniu już miałem mieszkanie i rodzinę.

- **Od 1992 roku jest pan dyrektorem Państwowej Orkiestry Kame-**

ralnej. W czerwcu 2005 roku została ona przekształcona w Polską Filharmonię Sinfonia Baltica. Jak pan ocenia ten przebieg czasu, a szczególnie nieprzerwanie prowadzone przez pana od 1990 roku koncerty inauguracyjne Festiwalu Pianistyki Polskiej, odbywające się w Słupsku?

- Objęcie funkcji dyrektora artystycznego i naczelnego dało mi możliwość zrealizowania swoich planów i ambicji artystycznych. Przede wszystkim udało mi się powiększyć orkiestrę, dzięki czemu można było realizować bogatszy i ciekawszy repertuar orkiestrowy, sięgać po wielkie dzieła oratoryjne i symfoniczne. Większość z tej bogatej spuścizny udało nam się przybliżyć słupskiej publiczności. To nie tylko muzyka tzw. poważna, ale także szereg interesujących programów z muzykami jazzowymi, a nawet z kręgu muzyki etnicznej. A Festiwal Pianistyki Polskiej to okazja do zetknięcia się z wielkim repertuarem pianistycznym oraz z największymi polskimi pianistami poczynając od Reginy Smendzianki do Rafała Blechacza czy Szymona Nehringa. Jeśli chodzi o politykę fonograficzną, którą realizuję w słupskiej filharmonii, to przyświeca mi idea, by dokumentować utwory dotąd niewykonywane przez inne orkiestry. Po co po raz kolejny nagrywać na przykład V Symfonię Beethovena, skoro i tak są orkiestry, które zrobiły to znacznie lepiej? Stąd sporo w naszym dorobku fonograficznym utworów zaaranżowanych przeze mnie, nieznanych wcześniej w wersji symfonicznej. A dorobek to bogaty, bo liczący już ponad trzydzieści pozycji. Uważam, że dużo jak na tak mało znaną i niedofinansowaną orkiestrę.

- **Co uważa pan za swój największy sukces zawodowy osiągnięty w Słupsku, a co okazało się niemiłym rozczarowaniem, największą porażką?**

- Moim sukcesem, jak już wcześniej powiedziałem, było rozbudowanie orkiestry. Chciałbym, aby mój następca nie zaprzepaścił tego stanu posiadania. Poza tym za sukces uważam szereg zagranych wspaniałych koncertów, na przykład wykonanie w Gdańsku w obecności kompozytora Missa pro pace Wojciecha Kilara, a także współpracę z wieloma znakomitymi solistami polskimi i zagranicznymi, by wymienić choćby Cypriena Katsarisa, z którym występowaliśmy na Festiwalu Pianistycznym w Lublewie. Moją porażką

jest niewątpliwie to, że nie udało mi się przekonać władz miasta i radnych do wybudowania nowego gmachu filharmonii. Od początku swego istnienia orkiestra pracuje i koncertuje w domu kultury, który dzieli w dodatku z inną instytucją - Nowym Teatrem. To przykład nigdzie niespotykany. Tymczasem, dzięki środkom unijnym z możliwości zasadniczej zmiany swoich warunków pracy, skorzystało kilkanaście filharmonii i oper w Polsce. I taka okazja dla nas już się nie powtórzy.

- **Czy widzi pan jeszcze możliwości rozwoju naszej, słupskiej orkiestry, co chciałby pan może wprowadzić nowego, zmienić? Czy miasto zapewnia środki na realizację ambitnych przedsięwzięć?**

- Obecne warunki lokalowe i niska dotacja (najniższa wśród filharmonii w Polsce) nie sprzyjają dalszemu rozwojowi. Zabezpieczenia finansowego na działalność artystyczną nie ma, gdyż środki finansowe, które otrzymujemy i te, które jesteśmy w stanie wypracować, wystarczają nam zaledwie na płace i utrzymanie dwóch budynków. Wydatki na działalność artystyczną muszą zbilansować się wpływami ze sprzedaży biletów. W takich warunkach trudno normalnie funkcjonować. Stąd wysokie, u nas, nawet w porównaniu z większymi ośrodkami, ceny biletów na koncerty.

- **Niewątpliwie muzyka jest panu pasją. A czy ma pan jeszcze jakieś inne, pozamuzyczne zainteresowania? Jak spędza pan czas wolny, czy pan go w ogóle ma?**

- Z czasem wolnym jest różnie, przy moim ogromnym zaangażowaniu zawodowym i ambicjach artystycznych, częściej go brakuje jak jest. Poza muzyką moją wielką pasją jest ogrodnictwo. Bardzo lubię dbać o roślinny, głównie kwiaty i krzewy. Mam spory ogród i każdą wolną chwilę mu poświęcam. W nim też odpoczywam.

- **Dziękuję panu tę rozmowę. Przyznam, że bardzo podziwiam pana zaangażowanie w życie artystyczne Słupska, dużą determinację i przywiązanie do naszego miasta. Zauważyłem to już dużo wcześniej, kiedy byłem radnym miejskim. Jesteśmy na początku nowego roku, więc życzę dużo pomyślności w kierowaniu Polską Filharmonią Sinfonia Baltica i zrealizowania wszystkich nowych ambitnych planów.**

- Dziękuję za te życzenia. Bardzo chciałbym, żeby Słupsk doczekał się nowego budynku filharmonii.

Jak kupować

Niemal codziennie zawieramy umowy, kupując od przedsiębiorców różne towary bądź zlecając im wykonanie określonych usług. Jeśli celem danej umowy jest zaspokojenie wyłącznie naszych prywatnych potrzeb, to jesteśmy konsumentami.



Fot. J. Maziejuk

Konsument to osoba fizyczna dokonująca z przedsiębiorcą czynności prawnej niezwiązanej bezpośrednio z jej działalnością gospodarczą lub zawodową. Na przykład jeżeli pan Kowalski kupuje dziecku laptop, jest konsumentem; nie będzie nim jednak, gdy kupi taki sam sprzęt dla firmy i pozwoli dziecku sporadycznie z niego korzystać. Mimo rozwoju i upowszechniania się rozmaitych form zawierania umów (np. e-transakcji) konsumenci nadal lubią robić tradycyjne zakupy - w pobliskich sklepach, salonach firmowych lub centrach handlowych. W tych sytuacjach przedsiębiorcy mają określone obowiązki, a kupujący - szczególne prawa.

Obowiązki sprzedawcy przed zawarciem transakcji

Sprzedawca musi w sposób jasny i zrozumiały poinformować kupującego o:

1. głównych cechach świadczenia (czyli wzajemnych zobowiązaniach), z

uwzględnieniem jego przedmiotu oraz sposobu porozumiewania się z konsumentem; 2. swoich danych identyfikujących, w szczególności o firmie i numerze, pod którym został zarejestrowany (np. NIP lub KRS), oraz adresie, pod którym prowadzi działalność, a także o numerze telefonu przedsiębiorstwa; 3. łącznej cenie lub wynagrodzeniu za świadczenie (wraz z podatkami), a gdy charakter świadczenia nie pozwala na dokładne wskazanie tych wartości, przedsiębiorca jest zobowiązany do przedstawienia sposobu ich obliczenia, z uwzględnieniem wszystkich kosztów; 4. sposobie i terminie spełnienia świadczenia przez przedsiębiorcę oraz stosowanej przez niego procedury rozpatrywania reklamacji; 5. przewidzianej przez prawo odpowiedzialności przedsiębiorcy za jakość świadczenia; 6. treści usług posprzedażnych i gwarancji (np. serwisowanie po okresie gwarancji); 7. czasie trwania umowy lub - gdy została ona zawarta na czas nieokreślony lub ma ulegać automatycznemu prze-

dłużeniu - o sposobie i przesłankach jej wypowiedzenia; 8. funkcjonalności treści cyfrowych oraz mających zastosowanie technicznych środków ich ochrony (np. uniemożliwienie przekopiowania na inny nośnik); 9. mających znaczenie interoperacyjności treści cyfrowych ze sprzętem komputerowym i oprogramowaniem (informacje określające wymagania sprzętowe i oprogramowanie komputerowe niezbędne do prawidłowego korzystania z treści cyfrowych). Powyższe informacje nie muszą zostać przekazane w przypadku drobnych umów życia codziennego, wykonywanych natychmiast po zawarciu, np. nabycia biletu do kina bezpośrednio przed rozpoczęciem seansu.

Warto wiedzieć, że w miejscu sprzedaży konsument powinien mieć zapewnione odpowiednie warunki techniczno-organizacyjne, umożliwiające mu wybór towaru oraz sprawdzenie jego jakości, kompletności, działania (w tym celu kupujący może np. żądać włączenia suszarki w sklepie).

Zgoda na dodatkową płatność

Przed zawarciem umowy przedsiębiorca ma obowiązek uzyskania od konsumenta wyraźnej zgody na każdą dodatkową płatność, wykraczającą poza uzgodnione wynagrodzenie. Nie można jej domniemywać na podstawie tego, że kupujący nie wyraził sprzeciwu (dotyczy to np. transakcji, którym towarzyszy domyślnie zaznaczona opcja ubezpieczenia). W takiej sytuacji konsument ma prawo do zwrotu uiszczonych opłat dodatkowych.

Obowiązki sprzedawcy związane z wydaniem towaru

Sprzedawca powinien wydać rzecz niezwłocznie, nie później niż w terminie 30 dni od daty zawarcia umowy, chyba że ustalono inaczej. W przypadku spóźnienia konsument może wyznaczyć przedsiębiorcy dodatkowy termin, a po jego przekroczeniu i niewydaniu towaru - odstąpić od umowy. Wraz z rzeczą kupujący powinien otrzymać od sprzedawcy wszystkie elementy wyposażenia oraz sporządzone w języku polskim instrukcje obsługi, konserwacji i inne dokumenty wymagane przez przepisy. Jeżeli przedsiębiorca udostępnia infolinię służącą do kontaktów w sprawie zawartych umów, to opłata za połączenie z tym numerem nie może być wyższa

niż za wykonanie zwykłego połączenia telefonicznego określonego w pakiecie taryfowym danego konsumenta.

Reklamacja

Gdy kupiona rzecz ma wadę, konsument ma prawo złożyć reklamację (opisane tu przepisy dotyczą reklamacji towaru konsumpcyjnego, a także usługi z nim związanej, np. montażu), jeżeli zakupiono ją razem z daną rzeczą. Zasady te nie mają zastosowania do reklamowania usługi niezwiązanej z zakupionym towarem (np. strzyżenia włosów czy mycia auta), w której konsument określi swoje żądania dotyczące doprowadzenia towaru do stanu zgodności z umową. Jej podstawą może być rękojmia (ustawowo uregulowany sposób dochodzenia roszczeń od sprzedawcy) bądź gwarancja (dobrowolne zobowiązanie sprzedawcy, importera lub producenta odnoszące się do jakości produktu) - o ile została udzielona. To do konsumenta należy wybór podstawy złożenia reklamacji.

Rękojmia

Sprzedawca jest odpowiedzialny wobec kupującego za wady fizyczne i prawne towaru. O wadzie fizycznej mówi się w szczególności wtedy, gdy rzecz: nie ma właściwości, które powinna mieć, np. kalosze przemakają; nie ma właściwości, o których zapewniał sprzedawca lub reklama, np. bateria odtwarzacza MP3 wystarcza na 24 godziny słuchania, choć w sklepie określono ten czas na 48 godzin; nie nadaje się do celu, o którym kupujący poinformował sprzedawcę, np. filizanki miały się nadawać do mycia w zmywarce, ale po pierwszym automatycznym czyszczeniu straciły zdobienia; jest niekompletna, czyli nie zawiera wszystkich wymaganych elementów, np. telefon nie ma kabla zasilającego (o ile był on elementem zestawu); jest nieprawidłowo zamontowana lub uruchomiona (jeżeli dokonał tego: sprzedawca lub inna osoba, za którą ponosi on odpowiedzialność, albo kupujący według instrukcji otrzymanej od sprzedawcy), np. w sprzęcie elektronicznym podłączonym zgodnie z instrukcją zawierającą błąd doszło do spalenia podzespołów.

Wada prawna polega na tym, że sprzedawany towar stanowi własność osoby trzeciej (np. pochodzi z kradzieży) albo jest obciążony prawami na rzecz innej osoby. Przy wystąpieniu wady prawnej konsumentowi przysłu-

gują praktycznie takie same roszczenia jak w przypadku wady fizycznej.

Możliwe roszczenia konsumenta

Konsument składający reklamację u sprzedawcy może żądać: wymiany towaru na nowy; naprawy wady; obniżenia ceny; odstąpienia od umowy - o ile wada jest istotna.

Procedura reklamacyjna - naprawa lub wymiana

Sprzedawca ma prawo odmówić spełnienia żądania, jeżeli wybór konsumenta jest niemożliwy do wykonania (np. rzecz nie jest już produkowana) lub wymaga nadmiernych kosztów (np. naprawa jednego elementu jest znacznie tańsza niż wymiana całego sprzętu). Odmawiając, przedsiębiorca może zaproponować inne rozwiązanie. Niezależnie od tego, w tej sytuacji konsument może zmienić swój wybór i żądać: naprawy (jeżeli wcześniej wnioskował o wymianę); wymiany (jeżeli wcześniej wnioskował o naprawę); obniżenia ceny oraz odstąpienia od umowy. Sprzedawca musi wymienić towar lub usunąć wadę w rozsądnym czasie (nie ma tu określonego terminu) i bez nadmiernych niedogodności dla konsumenta. Jeśli tego nie czyni, kupujący może wyznaczyć mu czas na spełnienie żądania. W przypadku dalszej bezczynności przedsiębiorcy konsumentowi wolno odstąpić od umowy.

Procedura reklamacyjna - obniżenie ceny lub odstąpienie od umowy

Żądając obniżenia ceny, konsument powinien określić kwotę obniżki proporcjonalnie do spadku wartości towaru. Nie może on żądać odstąpienia od umowy, gdy wada jest nieistotna (czyli drobna, bagatelna) i nie przeszkadza w użytkowaniu rzeczy zgodnie z jej przeznaczeniem (np. zarysowane opakowanie płyty CD). Jeśli jest to pierwsze żądanie konsumenta złożone w ramach pierwszej reklamacji wadliwej rzeczy, to zamiast obniżenia ceny lub zwrotu pieniędzy sprzedawca może zaproponować wymianę lub naprawę - niezwłoczną i bez nadmiernych niedogodności dla konsumenta. Decyzja należy tu do kupującego. Sprzedawcy wolno odmówić tylko wtedy,

gdy żądanie okazuje się niemożliwe do spełnienia albo wymaga nadmiernych kosztów. Jeśli przy pierwszym żądaniu złożonym w ramach reklamacji sprzedawca nie wywiązał się z obowiązku wymiany lub naprawy, bądź rzecz była już wymieniona lub naprawiana, przedsiębiorca nie może odmówić kupującemu odstąpienia od umowy lub obniżenia ceny. Nie ma tu znaczenia, czy chodzi o tę samą, czy też inną usterkę (lecz musi być ona istotna).

Reklamacja montażu

W przypadku wadliwego montażu lub uruchomienia kupionego towaru konsument ma prawo żądać od sprzedawcy demontażu i ponownego zamontowania. Jeżeli przedsiębiorca uchyla się od tego obowiązku, to konsument może np. wynająć innych wykonawców na koszt sprzedawcy.

Reklamacja - forma, terminy, koszt

Zawiadomienie reklamacyjne z tytułu rękojmi - z opisem wady i określeniem żądania - najlepiej przesłać listem poleconym za potwierdzeniem odbioru lub zanieść osobiście (i poprosić o pisemne potwierdzenie na osobnej kopii). Konsument może reklamować wadliwą rzecz, jeżeli wada została stwierdzona w ciągu dwóch lat od wydania towaru. Oznacza to, że jeżeli w tym czasie ujawnią się wady, które nie wynikają z działań konsumenta, np. nie zalał on laptopa wodą, to odpowiada za nie sprzedawca.

Warto podkreślić, iż jeśli wada zostanie wykryta w ciągu roku od wydania towaru, zakłada się jej istnienie już w chwili sprzedaży. W tym przypadku przedsiębiorca chcąc odrzucić reklamację musi udowodnić, że rzecz była używana niezgodnie z przeznaczeniem.

Rzecz używana może być objęta ograniczonym okresem rękojmi, nie krótszym jednak niż rok od dnia jej wydania. Sprzedawca ma 14 dni kalendarzowych na ustosunkowanie się do reklamacji. Jeżeli tego nie zrobi, przyjmuje się, iż uznał żądanie za uzasadnione (nie dotyczy to żądania odstąpienia od umowy), nawet jeśli wada powstała z winy konsumenta. Terminowe odniesienie się sprzedawcy do reklamacji nie oznacza, że musi on w tym czasie przywrócić towar do stanu zgodnego z umową.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik Konsumentów

Stalowi „Prezydenci” USA

Współczesny lotniskowiec uderzeniowy o tak zwanym „atomowym” napędzie to ogromna machina bojowa, obsługiwana przez kilka tysięcy ludzi i uzbrojona w tzw. grupę powietrzną, przewyższającą swą potęgą lotnictwo niejednego kraju. Aż dziesięć takich okrętów, z których każdy jest ponadtrzystumetrowym, pływającym miastem, nakrytym pokładem lotniczym, ma dziś w służbie US Navy – najpotężniejsza marynarka wojenna na całej kuli ziemskiej.

Imiona prezydentów Unii otrzymało aż siedem spośród dziesięciu jednostek tego typu. Pierwszym lotniskowcem USN, jaki nazwany został imieniem prezydenta Unii, był CV-42 długowiecznego i przydatnego w służbie typu „Midway”. Z początku miał on otrzymać imię „Coral Sea”, lecz stosowne decyzje zmieniono, by uhonorować zmarłego 12 kwietnia 1945 roku prezydenta Franklina D. Roosevelta (1882 - 1945), który pełnił tę funkcję przez dwanaście lat, m.in. wyprowadzając swój kraj z wielkiego kryzysu i przewodząc Amerykanom podczas II wojny światowej. 29 kwietnia 1945 roku niedoszłe „Morze Koralowe” zostało „Franklinem D. Rooseveltem”.

Kolejnym lotniskowcem, który otrzymał imię prezydenta Unii, został 27 maja 1967 roku CV-67. Nazwano go imieniem Johna F. Kennedy’ego (1917 - 1963), czwartego i na razie ostatniego prezydenta Unii, jaki zginął w zamachu po ledwie nieco ponad tysiącu dni sprawowania urzędu. John F. Kennedy miał za sobą służbę w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych - w jej trakcie wykazał się nie lada bohaterstwem, ratując członków załogi dowodzonego przez siebie ścigacza torpedowego PT-109, gdy okręt ten został zatopiony w sierpniu 1943 roku przez japoński niszczyciel „Amagiri” w pobliżu Wysp Salomona na Pacyfiku.

Trzecim lotniskowcem nazwanym imieniem prezydenta Unii jest CVN-69, który 11 października 1975 roku otrzymał nazwę „Dwight D. Eisenhower”. Tak jak jego patron, tak i on bywa nazywany „Ike’em” i jest pierwszym „atomowym” lotniskowcem USN, nazwanym imieniem wyższego oficera armii lądowej, gene-

rała Dwighta D. Eisenhowera (1890 - 1969), który najwyższy w Unii urząd piastował w latach 1953 - 1961.

Czwarty w kolejności jest CVN-71, który 27 sierpnia 1984 roku otrzymał imię starszego z dwóch Rooseveltów, Theodore’a (1858 - 1919) - 26. prezydenta Unii, znanego ze swego powiedzenia: „Nie podnoś głosu, ale miej przy sobie grubą pałę - zajdziesz daleko”. Jego nadnaturalnych rozmiarów głowa jest częścią sławnej kompozycji G. Borgluma na szczycie Mount Rushmore w południowej Dakocie. Lubią go chyba wszystkie dzieci świata, jako „ojca” pluszowego misia, tę bezsprzecznie najmiłą z wszystkich znanych zabawek.

Piąty w linii jest CVN-72, który 13 lutego 1988 roku otrzymał imię bezsprzecznie największego ze wszystkich prezydentów Unii - Abrahama Lincolna (1809 - 1865), człowieka, który uratował młody wówczas jeszcze kraj przed zupełnym rozpadem wskutek szalejącej wojny domowej, płacąc za to najwyższą cenę. Nadnaturalnych rozmiarów głowa Lincolna jest również częścią wspomnianej kompozycji na Mount Rushmore.

Szóstym „stalowym Prezydentem” jest CVN-73, który 21 lipca 1990 roku otrzymał imię „George Washington”. Prezydenta Washingtona (1732 - 1799) nazywają Amerykanie jednym z „ojców - założycieli” swego kraju, i słusznie, bowiem był on pierwszym prezydentem Unii w latach 1789 - 1797.

Siódmym lotniskowcem, nazwanym prezydenckim imieniem - został 7 września 1996 roku CVN-75 - otrzymał imię „Harry S. Truman”. Jest stalowym wcieleniem H. S. Trumana (1884 - 1972), trzydziestego trzecie-

go prezydenta Unii - jedyne w całej historii kraju, który w sierpniu 1945 roku polecił zrzucić dwie atomowe bomby na dwa japońskie miasta portowe, Hiroshimę i Nagasaki, pieczętując w ten sposób alianckie zwycięstwo w wojnie na Pacyfiku.

Patron ósmego „pływającego prezydenta”, Ronald W. Reagan (1911 - 2004) - jako pierwszy z najważniejszych obywateli Unii doczekał się zwodowania lotniskowca swego imienia jeszcze za życia. Imię twardego aktora - prezydenta ozdobiło kadłub CVN-76.

Także dziewiąty stalowy „prezydent” - CVN-77 - otrzymał 7 października 2006 roku imię człowieka żyjącego w chwili wodowania jego kadłuba - a to George’a H. W. Busha Seniora (ur. w 1924 roku). Ostatni, jak dotąd, prezydent Unii, który osobiście uczestniczył w działaniach II wojny światowej na Pacyfiku - został patronem ostatniego lotniskowca typu „Nimitz” w wersji podstawowej.

Dziesiąty stalowy „prezydent” - to pierwszy okręt zmodyfikowanego typu „Nimitz”, CVN-78, który podczas ceremonii wodowania 9 listopada 2013 roku otrzymał imię Geralda R. Forda (1913 - 2006). Wstąpił na urząd w 1974 roku, po niesławnym ustąpieniu z niego Richarda M. Nixona.

Z całej tej gromadki ludźmi związanymi z Marynarką Wojenną i lotniskowcami byli obaj Rooseveltowie, Gerald R. Ford i George H. W. Bush. Służbę w Marynarce Wojennej USA miał za sobą także John F. Kennedy. Pięciu pozostałych - Washington, Lincoln, Truman, Eisenhower i Reagan - zostało patronami lotniskowców z innych powodów.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk



XII BAL CHARYTATYWNY W DOLINIE CHARLOTTY

ZAMEŁOWO, LUTY 2016



